





PISMA
ADAMA MICKIEWICZA.

PAN TADEUSZ.

PISA

ADAM MICKIEWICZ

PAN TADEUSZ





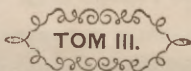
PISMA

ADAMA MICKIEWICZA

WYDANIE NOWE, ZNACZNIE POWIĘKSZONE.



Z PORTRETEM AUTORA.



WARSZAWA.

Nakładem S. H. MERZBACHA Księgarza.

W POZNANIU U LUDWIKA MERZBACHA.

—
1858.

3044



102510 L-P

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby exemplarzy.

Warszawa d. 8 (20) Lutego 1858 r.

Starszy Cenzor, F. Sobieszkański.

w Drukarni J. Jaworskiego.

PAN TADEUSZ.

W wydaniach powieści „*Pan Tadeusz*,” a głównie w ostatniej edycji 1844 r. w Paryżu ogłoszonej, pokazało się wiele błędów, i opuszczonych kilka wierszy, których brak był widoczny. — P. E. Januskiewicz, powziąwszy wiadomość o wydaniu niniejszem, które ogłaszam, nadesłać nam raczył sprostowanie tych błędów, i opuszczone wiersze z egzemplarza swego *Pana Tadeusza*, w którym własnoręcznie sam wieszcz nieśmiertelny jedne poprawił, drugie dopisał ¹⁾. Wszystko to czytelnik znajdzie w niniejszem wydaniu.

Prócz tego, w rękopismie własnoręcznym A. Mickiewicza *Pana Tadeusza*, znalazły się

¹⁾ List z Paryża 20 stycznia 1858 r.

nieogłoszone dotąd ustępy, które należą do uzupełnienia całości, a nadto warjanty dość obszerne. Tak np. Opisu puszczy litewskiej, oprócz textu, są dwa warjanty. Opuszczone zostały w poprzednich wydaniach téj powieści albo dla tego, że je autor innemi zastąpił, albo że rad był z niektórych zrobić całopalną ofiarę dla swoich przyjaciół, a zwłaszcza ś. p. Stefana Witwickiego, nieubłaganego purysty. W niniejszém przeto wydaniu, dopełnienia autora, które własnoręcznie zostawił wśród textu — dajemy w nim, z oznaczeniem gwiazdkami każdego ustępu: warjanty zaś, jakie były, w końcu każdej księgi umieszczamy.

S. H. Merzbach.



KSIĘGA PIĘRWSZA.



KSIĘGA PIERWSZA

GOSPODARSTWO.

TREŚĆ.

Powrót panicza.—Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu.—Ważna Sędziego nauka o grzeczności.—Podkomorzego uwagi polityczne nad modami.—Początek sporu o Kusego i Sokoła.—Żale Wojskiego.—Ostatni Woźny Trybunału.—Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy.

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy

Nowogródzki ochraniaś z jego wiernym ludem!
 Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
 (Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
 Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
 I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
 Iść za wrócone życie podziękować Bogu;)

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.
 Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną
 Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
 Szeroko nad błękitnym Niemnem rościagnionych;
 Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
 Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
 Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
 Gdzie panińskim rumieńcem dzięcielina pała,
 A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
 Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
 Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
 Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
 Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
 Tém bielsze że odbite od ciemnej zieleni

Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
 Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
 I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
 Użątka, co pod strzechą zmieścić się niemoże;
 Widać że okolica obfita we zboże,
 I widać z liczby kopiec, co wzdłuż i wszerz smugów
 Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów
 Orzących wcześniej łany ogromne ugoru
 Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
 Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
 Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
 Brama na-wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
 Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek
 I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,
 Wsiadł s powozu; konie porzucone same,
 Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.
 We dworze pusto: bo drzwi od ganku zamknięto
 Zaszczepkami, i kolkiem zaszczepki przetknięto.
 Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,
 Odemknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać,

Dawno domu nie widział; bo w dalekiem mieście
 Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.
 Wbiega i okiem chciwie ściany starodawne
 Ogląda czule, jako swe znajome dawne.
 Też same widzi sprzęty, też same obicia,
 S którymi się zabawiać lubił od powicia;
 Lecz mniej wielkie, mniej piękne, niż się dawniej
 I też same portrety na ścianach wisały. [zdały.
 Tu Kościuszko w czamarce krakowskiéj, z oczyma
 Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;

Dalej w polskiej szacie

Siedzi Rejtan żałośny po wolności stracie,
 W rękę trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,
 A przed nim leży Fedon i żywot Katona.
 Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny;
 Obok Korsak, towarzysz jego nieodstępny.
 Nawet stary stojący zegar kurantowy
 W drewnianéj szafie poznał, u wniścia alkowy;
 I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
 By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty

Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu
 Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice [laty.
 Po ścianach; w téj komnacie mieszkanie kobiéce?
 Któżby tu mieszkał? stary stryj nie był żonaty;
 A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.
 To nie był ochmistrzyni pokój? Fortepiano?
 Na niém noty, i książki; wszystko porzucano
 Niedbale i bezładnie; nieporządek miły!
 Niestare były rączki co je tak rzuciły.
 Tuż i sukienka biała, świeżo s kołka zdjęta
 Do ubrania, na krzesła poręczu rospięta.
 A na oknach donice s pachnącemi ziołki,
 Gieranium, lewkonia, astry i fijołki.
 Podróżny stanął w jedném z okien:—nowe dziwo:
 W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą
 Był maleńki ogródek, ścieżkami porznięty,
 Pełen bukietów trawy angielskiéj i mięty.
 Drewniany, drobny, w cyfrę powiązany płotek
 Połyskał się wstążkami jaskrawych stokrotek.
 Grządki widać że były świeżo polewane;
 Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,
 Ale nigdzie niewidać było ogrodniczki;
 Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzwiczki

Włos w pukle nierozwity, lecz w węzélki małe
 Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,
 Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku
 Świecił się, jak korona na świętych obrasku.
 Twarzy nie było widać, zwrócona na pole
 Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;
 Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,
 Jak biały ptak zleciała s parkanu na błonie,
 I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,
 I po desce opartéj o ścianę komnaty,
 Nim spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,
 Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.
 Nócąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;
 Wtém ujrzała młodzieńca i z rąk jéj wypadła
 Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.
 Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,
 Jak obłok gdy z jutrzenką napotka się ranną;
 Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,
 Chciał coś mówić, przeproszać, tylko się uklonił
 I cofnął się; dziewica krzyknęła boleśnie,
 Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;
 Podróżny zląkł się, spojrzął, lecz już jéj niebyło,
 Wyszedł zmieszany i czuł że mu serce biło

Głośno, i sam nie wiedział, czy go miało śmieszyć
To dziwaczne spotkanie, czy wstydzić, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nie uszło baczności,
Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.
Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano
Jako w porządnym domu i obrok i siano:
Bo Sędzia nigdy niechciał, według nowej mody,
Odsyłać konie gości żydom do gospody.
Słudzy nie wyszli witać, ale nie myśl wcale
Aby w domu Sędziego służono niedbale;
Słudzy czekają nim się Pan Wojski ubierze,
Który teraz za domem urządzał wieszczę.
On Pana zastępuje i on w niebytności
Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;
(Daleki krewny pański i przyjaciel domu).
Widząc gościa, na folwark dążył pokryjomu;
(Bo niemógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie,)
Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie
Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,
Że u wieszczy będzie z mnóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał zdala, ręce roskrzyżował
 I s krzykiem podróznego ścisnął i całował;
 Zaczęła się ta prędką, zmieszana rozmowa,
 W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa
 Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,
 Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.
 Gdy się Pan Wojski dosyć napytał, nabał, na
 Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

„Dobrze mój Tadeuszu,“ (bo tak nazywano
 Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano
 Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził,)

„Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził
 Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.
 Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele;
 Jest s czego wybrać; u nas towarzystwo liczne
 Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,
 Dla skończenia dawnego s Panem Hrabią sporu,
 I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu;
 Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.
 Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,
 A starzy i kobiety żniwo oglądają

Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.
 Pójdziemy jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy
 Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy.“

Pan Wojski s Tade uszem idą pod las drogą
 I jeszcze się dowoli nagadać nie mogą.
 Słońce ostatnich kre sów nieba dochodziło,
 Mniej silnie ale szerzej niż we dnie świeciło,
 Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze
 Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze
 Na spoczynek powraca: już krąg promienisty
 Spuszcza się na wierzch boru, i już promyk mglisty,
 Napęlniając wierzchołki i gałęzie drzewa,
 Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;
 I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,
 Słońce nad nim czerwone jak pożar na dachu;
 Wtém zapadło do głębi; jeszcze przez konary
 Błysnęło, jako świeca przez okiennic szpary,
 I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące
 We zbożach, i grabliska suwane po łące,
 Ucichły i stanęły: tak Pan Sędzia każe;
 U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.

„Pan świata wie jak długo pracować potrzeba;

„Słońce Jego robotnik kiedy znidzie z nieba,

„Czas i ziemianinowi ustępować s pola.“

Tak zwykł mawiać Pan Sędzia; a Sędziego wola

Była Ekonomowi pocziwemu świętą,

Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto

Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły;

Cieszą się z niezwyčajnej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,

Wesoło lecz w porządku; naprzód dzieci małe

Z dozorcą, potem Sędzia szedł s Podkomorzyną,

Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną;

Panny tuż za starszemi, a młodzież na boku;

Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku;

(Tak każe przyzwoitość) nikt tam nie rosprawił

O porządku, nikt męszczyzn i dam nie ustawiał,

A każdy mimowolnie porządku pilnował.

Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,

I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu

Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu;

Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,

Z jego upadkiem domy i narody giną.
 Więc do porządku wykli domowi i sludzy;
 I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy
 Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,
 Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego s synowcem witania,
 Dał mu poważnie rękę do pocałowania
 I w skroń ucałowawszy, uprzejmie pozdrowił;
 A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mówił,
 Widać było z łez, które wylotem kontusza
 Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru
 I z łąk i s pastwisk razem wracało do dworu.
 Tu owiec trzoda becząc w ulice się tłoczy
 I wznosi chmurę pyłu; dalej zwolna kroczy
 Stado cielie tyrolskich z mosiężnemi dzwonki.
 Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki;
 Wszystko bieży ku studni, której ramie z drzewa
 Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa.

Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości,
 Nie chybił gospodarskiej, ważnej powinności,
 Udał się sam ku studni; najlepiej z wieczora
 Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora,
 Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy,
 Bo Sędzia wie że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym, ze świecami w sieni
 Stali i rozprawiali nieco poróżnieni,
 Bo w niebytność Wojskiego, Woźny pokryjomu
 Kazał stoły z wieszczerzą powynosić z domu,
 I ustawić co prędzej w pośrodku zamczyska,
 Którego widne były pod lasem zwaliska.
 Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił
 I przeproszał Sędzię; Sędzia się zadziwił,
 Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić,
 Wolął gości przeprosić i w pustki prowadzić.
 Po drodze Woźny ciągle Sędziem tłumaczył,
 Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył;
 We dworze żadna izba nie ma obszerności
 Dostatecznej dla tylu, tak szanownych gości;
 W zamku sień wielka jeszcze dobrze zachowana,

Sklepienie całe—wprawdzie pękła jedna ściana,
 Okna bez szyb, lecz latem nic to nie zawadzi;
 Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi.
 Tak mówiąc, na Sędziego mrugał; widać z miny,
 Że miał i tań inne ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,
 Okazały budową, poważny ogromem,
 Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków;
 Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszków.
 Dobra całe, zniszczone sekwestrami rządu,
 Bezładnością opieki, wyrokami sądu,
 W części spadły dalekim krewnym po kądzieli,
 A resztę rozdzielono między wierzycieli.
 Zamku żaden wzięść nie chciał, bo w szlacheckim
 Trudno było wyłożyć koszt na utrzymanie; [stanie
 Lecz Hrabia, sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,
 Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,
 Przyjechawszy z wojażu, upodobał mury
 Tłumacząc, że gotyckiej są architektury;
 Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tém,
 Że architekt był majstrem z Wilna nie zaś Gotem.

Dość że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu
 Przyszła nagle też chętka, nie wiadomo czemu.
 Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym sądzie,
 W senacie, znowu w ziemstwie i guberskim rządzie;
 Wreszcie po wielu kosztach, i ukazach licznych,
 Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał, że w zamkowej sieni
 Zmieści się i palestra i goście proszeni.
 Sień wielka jak refektarz z wypukłym sklepieniem
 Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,
 Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi;
 Sterczały w koło sarnie i jelenie rogi
 Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;
 Tuż myśliwców herbowne klejnoty wryte,
 I stoi wypisany każdy po imieniu;
 Herb Horeszków Półkoczic jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
 Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.

Przy nim stał Kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.
Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
Mężczyznom dano wódkę; wtenczas wszyscy siedli,
I chołodziec litewski milcząc żwawo jedli.

Pan Tadeusz, choć młodzik, ale prawem gościa,
Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa;
Między nim i stryjaszkiem jedno pozostało
Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.
Stryj nie raz na to miejsce i na drzwi poglądał,
Jakby czyjegoś przyjscia był pewny i żądał.
I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,
I z niém na miejscu pustém oczy swe osadzał.
Dziwna rzecz! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,
Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,
Wszystkie zacie zrodzone, każda młoda, ładna;
Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.
To miejsce jest zagadką, młodź lubi zagadki;
Rostargniony, do swojej nadobnej sąsiadki
Ledwo słów kilka wyrzekł do Podkomorzanki,
Nie zmienia jój talerzów, nie nalewa szklanki,
I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,

S którychby wychowanie poznano stołeczne;
 To jedno puste miejsce nęci go i mami,
 Już niepuste, bo on je napelnił myślami.
 Po tém miejscu biegają domysłów tysiące,
 Jako po deszczu żabki po samotnej łące;
 Śród nich jedna króluje postać, jak w pogodę
 Lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę.

* Tadeusz przypominał: jak wszedł do komnaty
 Pustej jak to siedzenie, i patrzył przez kwiaty
 Jak przez głowy sąsiadek: patrzył w okna sadu,
 Jak teraz we drzwi sieni. Szukał znowu śladu
 Pamiątki zostawionej po przeslicznej nóżce,
 Co głębiej w myśli tkwiła niż w piasku na dróźnie,
 I nieśmiało oczu podnieść do góry: był pewny
 Że ujrzy na filarze jej ubior powiewny,
 Włos pokręcony w białe obwinięty strączki
 I na piersiach odkrytych skrzyżowane rączki. *

Dano trzecią potrawę. Wtém pan Podkomorzy,
 Wlawszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,
 A młodszój przysunawszy s talerzem ogórki,
 Rzekł: „Muszę ja wam służyć, moje panny córki,

Choć stary i niezgrabny. « Zatem się rzuciło
 Kilku młodych od stołu i pannom służyło.
 Sędzia z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza,
 I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,
 Nalał węgryna i rzekł: „Dziś nowym zwyczajem,
 My na naukę młodzież do stolicy dajem,
 I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki
 Mają od starych więcej książkowej nauki;
 Ale codzień postrzegam jak młódź cierpi na tém,
 Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem;
 Dawniej na dwory pańskie jechał szlachcic młody,
 Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody
 Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,
 (Mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana);
 On mnie radą do usług publicznych sposobił,
 Z opieki nie wypuścił aż człowiekiem zrobił.
 W mym domu wiecznie będzie jego pamięć droga,
 Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.
 Jeźlim tyle na jego nie korzystał dworze
 Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,
 Gdy inni, więcej godni Wojewody względów,
 Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,
 Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu

Nikt nigdy nie zarzuci bym uchybił komu,
 W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało,
 Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.
 Niełatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą
 Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;
 Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka
 Ale nie staropolska, ani też szlachecka.
 Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna;
 Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,
 I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i Pana
 Dla sług swoich, a w każdój jest pewna odmiana.
 Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić
 I każdemu powinna uczciwość wyrządzić.
 I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,
 Była to historia żyjąca krajowa,
 A między szlachtą dzieje domowe powiatu;
 Dawano przez to poznać szlachcicowi bratu,
 Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;
 Więc szlachcic obyczaj swe trzymał pod strażą.
 Dziś człowieka nie pytaj: co zaczął? kto go rodzi?
 S kim on żył, co porabiał? każdy gdzie chce wchodzi,
 Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.
 Jak ów Wespazyanus, nie wachał pieniędzy

I nie chciał wiedzieć skąd są, z jakich rąk i krajów;
 Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów!
 Dość że ważny i że się stępel na nim widzi,
 Więc szanują przyjaciół jak pieniądze żydzi. «

To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem;
 Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,
 Wiedział, że niecierpliwa młodzież terazniejsza,
 Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.
 Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiem;
 Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem,
 Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,
 Ale częstém skinieniem głowy potakiwał.
 Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzwalał;
 Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,
 I dalej mówił: „Grzeczność nie jest rzeczą małą:
 Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,
 Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,
 Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje:
 Jak na szalach żebyśmy nasz ciężar poznali,
 Musim kogoś posadzić na przeciwnój szali.
 Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej

Grzeczność, którą powinna młodź dla płci nadobnej;
 Zwłaszcza gdy zacność domu, fortuny szczodroty,
 Objasniają wrodzone wdzięki i przymioty.
 Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy
 Wspaniały domów sojusz—tak myśleli starzy.
 A zatem—Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy
 Skinął na Tadeusza, rzucił wzrok surowy,
 Znać było że przychodził już do wniosków mowy.

Wtém brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy,
 I rzekł: „Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!
 Teraz niewiem czy moda i nas starych zmienia,
 Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorzenia.
 Ach ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny
 Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!
 Gdy raptem paniczyki młode s cudzych krajów
 Wtargnęli do nas hordą gorszą od Nogajów,
 Prześladowając w Ojczyźnie Boga, przodków wiarę,
 Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.
 Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,
 Gadających przez nosy, a często bez nosów,
 Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,

Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.
 Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza;
 Bo Pan Bóg, kiedy karę na naród przypuszcza,
 Odbiera naprzód rozum od obywateli.
 I tak, mędrsi fircykom oprzeć się nie śmieli,
 I zląkł ich się jak dzumy jakiej cały naród,
 Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród;
 Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;
 Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.
 Była to maszkarada, zapustna swawola,
 Po której miał przyjść wkrótce wielki post—niewola!

„Pamiętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko,
 Kiedy do ojca mego, w Oszmianskim powiecie,
 Przyjechał Pan Podczasyc na francuskim wózku,
 Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.
 Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,
 Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
 Stała Podczaszyca dwukolna dryndulka,
 Która się po francusku zwała karjulka,
 Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,
 A na kozłach niemczysko chude naksztalt deski;

Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
 W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki,
 Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.
 Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,
 A chłopci żegnali się, mówiąc: że po świecie
 Jeździ wenecki diabeł w niemieckiej karecie.
 Sam Podczaszyc jaki był, opisywać długo,
 Dosyć że się nam zdawał małpą, lub papugą
 W wielkiej peruce, którą do złotego runa
 On lubił porównywać, a my do kołtuna.
 Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie
 Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,
 Milczał; bo by krzyczała młodzież, że przeszkadza
 Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza!
 Taka była przesądów owoczesnych władza!

„Podczaszyc zapowiedział, że nas reformować,
 Cywilizować będzie i konstytuować;
 Ogłosił nam, że jacyś Francuzi wymowni
 Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi.
 Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,
 I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.

Nauka dawną była, szło o jój pełnienie!
 Lecz wtenczas panowało takie osłepienie,
 Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
 Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.
 Podczaszyc mimo równość wziął tytuł Markiża;
 Wiadomo że tytuły przychodzą s Paryża,
 A natenczas tam w modzie był tytuł Markiża.
 Jakoż kiedy się moda odmieniła z laty,
 Tenże sam Markiż przybrał tytuł Demokraty;
 Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,
 Demokrata przyjechał s Paryża Baronem;
 Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,
 Z Barona przechrzcilby się kiedyś Demokratą,
 Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
 A co Francuz wymyśli to Polak polubi.

„Chwała Bogu, że teraz jeśli nasza młodzież
 Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,
 Nie szukać prawodawstwa w drukarskich kramar-
 [niach,
 Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach;
 Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędko,

Nie daje czasu szukać mody i gawędki.

Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,

Że znowu o Polakach tak na świecie głośno;

Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!

Zawždy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.

Tylko smutno, że nam ach! tak się lata wleką

W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!

Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina—

Ojcie Robaku (ciszej rzekł do Bernardyna)

Słyszałem żeś z za Niemna odebrał wiadomość;

Może też co o naszym wojsku wie Jegomość?«

—»Nic a nic« odpowiedział Robak obojętnie,

(Widać było że słuchał rozmowy niechętnie)

Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy

Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy

Bernardyńskie, cóż o tém gadać u wieczerzy;

Są tu świeccy do których nic to nie należy.«

Tak mówiąc, spojrzął zyzem, gdzie śród biesia-

[dników

Siedział gość Moskał; był to pan kapitan Rykow,

Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,

Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.
Rykw jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,
Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniósłszy
[głowę:

„Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy
O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!
He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a po polsku umiem,—
Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!
Wy Polaki, ja Ruski, teraz się nie bijem,
Jest armistycium, to my razem jemy, pijem.
Często na awanpostach nasz s Francuzem gada,
Pije wódkę; jak krzykną ura!—kanonada.
Ruskie przysłowie: s kim się biję, tego lubię;
Gładź drużkę jak po duszy, a bij jak po szubie.
Ja mówię, będzie wojna u nas. Do Majora
Płuta, Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:
Gotować się do marszu! Pójdziem, czy pod Turka,
Czy na Francuza; oj ten Bonapart figurka!
Bez Suwarowa to on może nas wytuza.
U nas w pułku gadano, jak szli na Francuza,
Że Bonapart czarował; no, tak i Suwarów
Czarował; tak i były czary przeciw czarów.
Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta,—

A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta,
 Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,
 Dalej drzec pazurami, a Suwarów w kuca.
 Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą^a—
 Tu Rykow przerwał i jadł; wtém s potrawą czwartą
 Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba, przystojna i młoda;
 Jój zjawienie się nagłe, jój wzrost i uroda,
 Jój ubiór, zwrócił oczy; wszyscy ją witali,
 Prócz Tadeusza, widać że ją wszyscy znali.
 Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,
 Suknię materyalną różową jedwabną,
 Gors wycięty, kołnierzyk z koronek; rękawki
 Krótkie, w rękę kręciła wachlarz dla zabawki,
 (Bo nie było gorąca), wachlarz pozłocisty
 Powiewając rozlewał deszcz iskier rześisty.
 Głowa do włosów, włosy pozwijane w kręgi,
 W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi,
 Pośród nich brylant niby zakryty od oczu,
 Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu;
 Słowem, ubior galowy; szeptali nie jedni,

Ze zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.
Nóżek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,
Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczej
Jako osóbkę, które na trzykrólskie święta,
Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.
Biegła i wszystkich lekkim witając ukłonem,
Chciała usieść na miejscu sobie zostawioném.
Trudno było; bo krzesel dla gości niestało,
Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało,
Trzeba było rząd ruszyć lub ławę przeskoczyć;
Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,
A potem między rzędem siedzących i stołem,
Jak bilardowa kula toczyła się kołem,
W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana,
Pośliznęła się nieco, i w tém rostargnieniu
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swém siadła
Pomiędzy nim i stryjem, ale nie jadła;
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek
Poprawiała, to lekkim dotknięciem się ręki
Muskiała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.
 Tymczasem, w końcu stoła, naprzód ciche szmery,
 A potem się zaczęły w półgłośnie rozmowy;
 Mężczyzni rozsądzałi swe dzisiejsze łowy.
 Assesora z Rejentem wzmogła się uparta
 Coraz głośniejsza kłótnia o Kusego charta,
 Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił
 I utrzymywał, że on zajęcia pochwycił;
 Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,
 Że ta chwala należy chartu Sokołowi.
 Pytano zdania innych; więc wszyscy do koła
 Brali stronę Kusego, albo też Sokoła,
 Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.
 Sędzia na drugim końcu, do nowój sąsiadki
 Rzekł półgłosem: „przepraszam, musieliśmy siadać,
 Niepodobna wiecerzy na później odkładać,
 Goście głodni, chodzili daleko na pole,
 Myślałem że dziś z nami nie będziesz przy stole.“
 To rzekłszy, s Podkomorzym przy pełnym kielichu
 O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,
 Tadeusz przyglądał się nieznanėj osobie;

Przypomniał że za pierwszém na miejsce wejrzaniem
 Odgadnął zaraz, czyjém miało być siedzeniem.
 Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie;
 Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!
 Więc było przeznaczono, by przy jego boku
 Usiadła owa piękność widziana w pomroku;
 Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,
 Bo ubrana, a ubior powiększa i zmniejsza;
 I włos u tamtój widział krótki, jasnozłoty,
 A u téj krucze długie zwijały się sploty?
 Kolor musiał pochodzić od słońca promieni,
 Któremi przy zachodzie wszystko się czerwieni.
 Twarzy wówczas nie dostrzegł, nazbyt rychło znikła,
 Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła,
 Myślił że pewnie miała czarniutkie oczęta,
 Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta;
 U téj znalazł podobne oczy, usta, lica;
 W wieku możeby była największa różnica:
 Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,
 A Pani ta niewiastą już w latach dojrzałą;
 Lecz młodzież o piękności metrykę nie pyta,
 Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobiéta,
 Chłopcowi każda piękność zda się rówiennicą,

A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadeusz, chociaż liczył lat blisko dwadzieście,
 I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiem mieście,
 Miał za dozorcę księdza, który go pilnował
 I w dawniej surowości prawidłach wychował.
 Tadeusz zatem przywiózł w strony swe rodzinne
 Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;
 Ale razem nie małą chętkę do swawoli.
 Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli
 Używać na wsi długo wzbronionój swobody;
 Wiedział, że był przystojny, czuł się rzeźki, młody;
 A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.
 Nazywał się Soplica; wszyscy Soplicowie
 Są jak wiadomo krzepcy, otyli i silni,
 Do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nieodrodził:
 Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,
 Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,
 Choć stryj na wychowanie niczego nieskaپیł.
 On wołał z flinty strzelać, albo szablą robić;

Wiedział że go myślano do wojska sposobić,
 Że ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę;
 Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.
 Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,
 Kazał aby przyjechał i aby się żenił,
 I objął gospodarstwo; przyrzekł na początek
 Dać małą wieś, a potem, cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety
 Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.
 Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,
 Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,
 I w twarz spojrziała, s której wytryskał rumieniec,
 Ilekroć z jej oczyma spotkał się młodzieniec:
 Bo s pierwszej lęklivosti całkiem już ochłonął,
 I patrzył wzrokiem śmiałym w którym ogień płonął,
 Również patrzyła ona, i cztery źrenice
 Gorzały przeciw sobie jak roratne świeće.

Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę;
 Wracał z miasta, ze szkoły; więc o książki nowe,
 O autorów pytała Tadeusza zdania,

I ze zdań wyciągała na nowo pytania;
 Cóż gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,
 O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie!
 Dowiodła że zna równie pędzel, nuty, druki;
 Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki,
 Lękał się, by nie został pośmiewiska celem,
 I jąkał się jak zaczek przed nauczycielem.
 Szczęściem, że nauczyciel ładny i niesrogi,
 Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,
 Wszczęła rzecz o mniej trudnych i mądrych przed-
 [miotach,
 O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,
 I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,
 By życie uprzyjemnić i wieś rozweselić.
 Tadeusz odpowiadał śmielój, szła rzecz dalej,
 W pół godziny już byli s sobą poufali;
 Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.
 W końcu, stawiała przed nim trzy s chleba gałeczki,
 Trzy osoby na wybór, wziął najbliższą sobie;
 Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie;
 Sąsiadka zaśmiała się, lecz nie powiedziała
 Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.

Inaczej bawiono się w drugim końcu stoła,
 Bo tam wzmógłszy się nagle stronnicy Sokoła,
 Na partyę Kusego bez litości wsiedli:
 Spór był wielki, już potraw ostatnich nie jedli.
 Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,
 A najstraszniej Pan Rejent był zacierzewiony,
 Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoją tokował,
 I gestami ją bardzo dobitnie malował.
 (Był dawniej adwokatem Pan Rejent Bolesta,
 Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta).
 Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,
 S pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,
 Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem,
 Właśnie rzecz kończył: „Wyczha, puściliśmy razem
 Ja i Assesor, razem, jakoby dwa kórki
 Jednym palcem spuszczone u jednej dwururki;
 Wyczha, poszli, a zając jak stróna, smyk w pole,
 Psy tuż, (to mówiąc ręce ciągnął wzdłuż po stole
 I palcami ruch chartów przedziwnie udawał)
 Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał;
 Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,
 Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec,
 Wiedziałem że spudłuje; szarak gracz nielada,

Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada;
 Gracz szarak! skoro poczuł wszystkie charty w kupie
 Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,
 A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,
 Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój Kusy
 Cap!!« — Tak krzycząc Pan Rejent na stół pochyłony,
 S palcami swemi zabiegł aż do drugiej strony,
 I „Cap!« Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem;
 Tadeusz i sąsiadka, tym głosu wybuchem
 Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,
 Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy,
 Jako wierzchołki drzewa powiązane społem,
 Gdy je wichur rozerwie; i ręce pod stołem
 Blisko siebie leżące wstecz nagle uciekły,
 I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz, by nie zdradzić swego rostargnienia,
 Prawda, rzekł, mój Rejencie, prawda, bezwątpienia
 Kusy piękny chart s kształtu, jeśli równie chwytny.....
 Chwytny? krzyknął Pan Rejent, mój pies faworytny
 Żeby nie miał być chwytny? Więc Tadeusz znowu
 Cieszył się, że tak piękny pies nie ma narowu,

Żałował że go tylko widział idąc z lasu,
I że przymiotów jego poznać nie miał czasu.

Na to zadrzał Assesor, puścił z rąk kieliszek,
Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliszek.
Assesor mniej krzykliwy i mniej był ruchawy
Od Rejenta, szczuplejszy i mały s postawy,
Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,
Bo powiadano o nim, ma żądło w języku.
Tak dowcipne żarciki umiał komponować,
Iżby je w kalendarzu można wydrukować:
Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniej człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Wszystko strwonił na wielkim figurując świecie;
Teraz wszedł w służbę rządu by znaczyć w powiecie.
Lubił bardzo myśliwstwo, już to dla zabawy,
Już to że odgłos trąbki i widok obławy,
Przypominał mu jego lata młodociane,
Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane;
Teraz mu s całej psiarni dwa charty zostały,
I jeszcze s tych jednemu chciano przeczyć chwały.
* Potrzeba także wiedzieć: że on Telimienie

Nadskakiwał i niby kochał się szalenie,
 Żałował więc że dał się ułowić tak prędko:
 Widać że już na inną rybkę dybie z wędką.
 Więc zbliżył się, i z wolna gładząc faworyty,
 Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
 „Sławną Akademią macie państwo w Wilnie,
 Lecz s katedry o chartach nauczono mylnie.
 Inaczej sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie
 I u nas na wsi.—U nas jest stare przysłowie: *
 Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu;
 Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu.
 A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?
 Zresztą zdać się możemy na sąd Pańskiej cioci.
 Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy
 I bawi się niedawno w naszej okolicy,
 Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi;
 Tak to nauka sama z latami przychodzi.“

Tadeusz, na którego niespodzianie spadł
 Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nie nie gadał,
 Lecz patrzył na rywala coraz straszniej, srożej....
 Wtém wielkiem szczęściem dwakroć kichnął Pod-
 (komorzy,

„Wiwat“ krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił
I zwolna w tabakierę palcami zadzwonił.

Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,

A w środku jęj był portret króla Stanisława.

Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,

Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował.

Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać;

Umilkli wszyscy i ust nie śmieli otwierać.

On rzekł: „Wielmożni Szlachta Bracia Dobrodzieje,

Forum myśliwskim tylko są łąki i knieje,

Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,

I posiedzenie nasze na jutro solwuję.

I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę;

Woźny! odwołaj sprawę, na jutro na pole.

Jutro i Erabia s całym myśliwstwem tu zjedzie,

I Waszeć z nami ruszysz, Sędzio mój sąsiedzie,

I Pani Telimena i Panny i Panie,

Słowem, zrobim na urząd wielkie polowanie;

I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi.“

To mówiąc tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu śród myśliwych siedział,

Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział.

Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,
 Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.
 On milczał, szczyptę wziętą s tabakiery ważył
 W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył,
 Kichnął, aż cała izba rozległa się echem,
 I potrząsając głową, rzekł z gorzkim uśmiechem:
 „O, jak mnie to starego i smuci i dziwi!
 Cóżbyto o tém starzy mówili myśliwi?
 Widząc że w tyłu szlachty, w tyłu panów gronie,
 Mają sądzić się spory o charcim ogonie;
 Cóżby rzekł na to stary Rejtan gdyby ożył?
 Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!
 Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,
 Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,
 I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,
 I ma sto wozów sieci w zamku Woronczzańskim,
 A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze,
 Nikt go na polowanie uprosić nie może;
 Białopiotrowiczowi samemu odmówił!
 Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?
 Piękna byłaby sława! ażeby pan taki
 Wedle dzisiejszej mody jeździł na szaraki.
 Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,

Dzik, niedźwiedź, łoś, wilk, zwany był zwierzem
 [szlacheckim,
 A zwierze nie mające kłów, rogów, pazurów,
 Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;
 Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki
 Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śród cienki!
 Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,
 Trafia się że s pod konia mknie się biedak zając,
 Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,
 I na konikach małe goniły panicze,
 Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie
 Ledwie raczyli widzieć, cóż kłócić się o nie!
 Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy
 Odwołać swe rozkazy, i niech mi wybaczy
 Że nie mogę na takie jechać polowanie,
 I nigdy na niém noga moja nie postanie!
 Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,
 Żaden za zającami nie jeździł Hreczecha.“

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,
 Wstano od stołu; pierwszy Podkomorzy ruszył.
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,

Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;
 Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,
 Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,
 Tadeusz Telimienie, Assesor Krajczance,
 A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszance.

Tadeusz s kilku gośćmi poszedł do stodoły,
 A czuł się pomieszany, zły i niewesoły,
 Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki,
 Spotkanie się, wieczerzę przy boku sąsiadki,
 A szczególniej mu słowo „Ciocia“ koło ucha
 Brzęczało ciągle, jako naprzykrzona mucha.
 Pragnąłby u Woznego lepiej się wypytać
 O Pani Telimienie, lecz go nie mógł schwytać;
 Wojskiego też nie widział, bo zaraz z wieczerzy
 Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,
 Urządzając we dworze izby do spoczynku.
 Starsi i damy spały we dworskim budynku,
 Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano
 W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W półgodziny tak było głucho w całym dworze,

Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;
 Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.
 Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu niezmruża,
 Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę
 W pole, i w domu przyszłą urządza zabawę.
 Dał rozkaz ekonomom, wójtom i gumiennym,
 Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,
 I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać.
 Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.
 Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity,
 Przy którym świecą gęste kutasy jak kity;
 Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,
 Na wywrót jedwab' czarny posrebrzany w kraty;
 Pas taki można równie kłaść na strony obie,
 Złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie.
 Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;
 Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać:

„Cóż złego że przeniosłem stoły do zamczyska,
 Nikt na tém nic nie stracił, a Pan może zyska.
 Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.
 My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,

I mimo całą strony przeciwnęj zajadłość,
 Dowiodę że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.
 Wszakże kto gości prosi w zamek na wieczerzę,
 Dowodzi że posiadłość tam ma, albo bierze,
 Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:
 Pamiętam za mych czasów podobne wypadki.◀

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni,
 Siadł przy świecy i dobył książeczkę s kieszeni;
 Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,
 Której nigdy nie rzuca w domu i w podróży.
 Była to trybunalska wokanda: tam rzędem
 Stały spisane sprawy, które przed urzędem
 Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,
 Albo o których później dowiedzieć się zdołał.
 Prostym ludziom wokanda zda się imion spisem,
 Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.
 Czytał więc i rozmyślał: Ogiński z Wizgirdem,
 Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogirdem,
 Radziwił z Wereszczaką, Giedrojć z Rodułtowskim,
 Obuchowicz s kahałem, Juraha s Piotrowskim,
 Maleski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia

S Soplicą: i czytając, s tych imion wywabia
 Pamięć spraw wielkich, wszystkie processu wypadki,
 I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;
 I ogląda sam siebie, jak w żupanie białém
 W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,
 Jedna ręka na szabli, a druga do stoła,
 Przywoławszy dwie strony, „Uciszcie się!” woła.
 Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
 Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w one lata
 Śród cichój wsi litewskiej; kiedy reszta świata
 We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny
 Otoczony chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
 Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok sre-
 [bnych,
 Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,
 Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
 W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i
 [Zabor
 Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tyłu,
 Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu

Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów
 Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,
 Które broniły Litwę murami żelaza,
 Przed wieścią dla Rossyj straszłą jak zaraza.

Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba
 Spadała w Litwę; nieraz dziad żebrzący chleba,
 Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,
 Stał i oczy w koło obracał ostrożne.
 Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy,
 Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
 Wtenczas kim był, wyznawał; był legionistą,
 Przynosił kości stare na ziemię ojczystą,
 Której już bronić nie mógł—jak go wtenczas cała
 Rodzina pańska, jak go czeladka ścisła
 Zanosząc się od płaczu! on za stołem siadał,
 I dziwniejsze od baśni historye gadał.
 On opowiadał jako Jenerał Dąbrowski,
 Z ziemi Włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,
 Jak on rodaków zbiera na Lombardzkim polu;
 Jak Kniaziewicz roskazy daje s Kapitolu,
 I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów

Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;
 Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,
 Gdzie się cukier wytapia, i gdzie w wiecznej wiosnie
 Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju
 Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.
 Mowy starca krążyły we wsi pokryjomu;
 Chłopiec co je posłyszał, znikął nagle z domu,
 Lasami i bagnami skradał się tajemnie,
 Ścigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie
 I nurkiem płynął na brzeg Księstwa Warszawskiego,
 Gdzie usłyszał głos miły: „Witaj nam kollego!“
 Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek s kamienia
 I Moskałom przez Niemen rzekł: „do zobaczenia!“
 Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,
 Piotrowski, Obolewski, Rożycki, Janowicz,
 Mierzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,
 Kupść, Gedymin i inni, których niepoliczę;
 Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,
 I dobra, które na skarb Carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru
 Przyszedł, i kiedy bliżej poznał Panów dworu,

Gazetę im pokazał wyprutą s skaplerza;
 Tam stała wypisana i liczba żołnierza,
 I nazwisko każdego wodza legionu,
 I każdego z nich opis zwycięstwa, lub zgonu.
 Po wielu latach, pierwszy raz miała rodzina
 Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna;
 Brał dom żalobę, ale powiedzieć nie śmiano
 Po kim była żaloba, tylko zgadywano
 W okolicy; i tylko cichy smutek Panów,
 Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

! Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno:
 Często on s Panem Sędzią rozmawiał osobno,
 Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina
 Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać bernardyna
 Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze
 Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.
 Miał on nad prawém uchem, nieco wyżej skroni,
 Bliznę, wyciętej skóry na szerokość dłoni,
 I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału;
 Ran tych nie dostał pewnie przy czytaniu mszału.

Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,
Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wniesionemi zwracał się rękami
Od ołtarza do ludu, by mówić: „Pan z wami,“
To nieraz tak się zręcznie skręcił jednym razem,
Jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem,
I słowa liturgji takim wyrzekł tonem
Do ludu, jak oficer stojąc przed szwadronem:
Postrzegali to chłopcy służący mu do mszy.
Spraw także politycznych był Robak świadomszy,
Niżli żywotów świętych, a jeżdżąc po kweście,
Często zastanawiał się w powiatowém mieście;
Miał pełno interesów: to listy odbierał,
Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,
To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co
Nie powiadał; częstokroć wymykał się nocą
Do dworów Pańskich, s szlachtą ustawicznie szeptał,
I okoliczne wioski do koła wydeptał,
I w karczmach z wieśniakami rozprawiał nie mało,
A zawsze o tém, co się w cudzych krajach działo.

* Teraz gdy wszyscy spali, w Sędziego komorze

Gadał długo: wychodząc ostrzegł że nie może
Być na mszy obławniczej, bo jutro w niedzielę,
Musi w parafialnym nauczać kościele.
Potem będzie powrotu strzelców w karczmie czekał,
Lub gdy prędko nie wrócą, szukać ich przyrzekał.*

PRZYPISY DO KSIĘGI PIERWSZEJ.

WARJANTY.

W czasie wieczery pan Sędzia rozprawia o dawnych obyczajach, o grzeczności młodzieży, nareszcie przychodzi do powieści o wojewodzie, zastępując ją w pierwszych wydaniach powieść o panu Podczaszym. W tekście zostawiliśmy pierwotną redakcyę, tu podajem całą tę zmianę.

„Pamiętacie Waćpaństwo jak tu z zagranicy
Przyleciał Wojewodzie. W naszej okolicy
Pan najpierwszy, po ojcu senatora dziecie,
Przystojny, pełen nauk, bywalec na świecie.
Wszyscy za nim latali jakby za rarogiem;

Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
 Wojewodzica koczyk stanął s koni dwojka;
 Ekonom ojca jego, nieboszczyk pan Łojko
 Wstydziłby się zajeżdzać dryndulką tak małą;
 Lecz Wojewodzie nazwał swój kocz *damą białą*;
 S tyłu zamiast lokaja wziął Kusego pieska,
 A na kozłach był Niemiec wychudły jak deska,
 Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
 W pończochach, ze srebrnemi sprzączkami trzewiki,
 I peruka z ogonem uwiązany w miechu;
 My starsi patrząc na to parskali ze śmiechu,
 A chłopci zegnali się mówiąc: że w powiecie
 Jeździ Wenecki diabeł w zamorskiej karecie.
 Wszakże młodzieży przypadł ten diabeł do smaku:
 Brali sobie do sukien kroje z jego fraku,
 A damy uczyły się grymasów, ukłonów,
 Konceptów przywiezionych s paryzkich salonów.
 Ja zaś mówiłem: że to człowiek niedorzeczny,
 Źle skończy, a wnosiłem stąd że był niegrzeczny.
 Ciągłe tęschnił w ojczyźnie, znaleźć nie mógł ludzi,
 Nie miał s kim żyć—powtarzał że się na śmierć nudzi.
 Przedrwiwał najzacniejsze kobiety w powiecie,
 Bo prostytutki, na wielkim nie bywały świecie;

Trudno z niemi rozmawiać, niepodobna bawić.
Nie umiały go dosyć ocenić i sławić.
A wiecież jak on skończył? poznał się z otyłym
Żydem jakimś, bankierem s Królewca przybyłym.
Siostra szachraja, dziewczka długa i dziobata,
Nie piękna i nie młoda, nawet nie bogata,
Lecz ówik baba, umiała przynęcać młodzików,
Plotąc jak opętana dziesięciu języków;
Wojewodzie przysięgał że czystym mówiła
Akcentem, jak gdyby się na bruku rodziła
Paryskim. Owóz tedy popadł babie w szpony,
I jest już w pół zrujnowan i w pół ożeniony,
I oczu teraz nie śmie pokazać przed światem.“
Odetchnął Sędzia, potem rzekł kończąc: „a zatém.“
(Co był znak że przychodzi już do wniosków mowy),
Razem na Tadeusza rzucił wzrok surowy.
Zląkł bardzo synowca—w tém s potrawą czwartą
Podszedł lokaj i s trzaskiem boczne drzwi otwarto.

ZAMEK

KSIĘGA DRUGA.

ZAMEK.

TREŚĆ.

Polowanie s chartami na upatrzonogo.—Gość w Zamku.—Ostatni z dworzan opowiada historią ostatniego z Horeszków.—Rzut oka w sad.—Dziewczyna w ogórkach.—Śniadanie.—Pani Telimeny anegdota petersburska.—Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokoła.—Interwencya Robaka.—Rzecz Wojskiego.—Zakład.—Dalej w grzyby.

Kto z nas tych lat niepomni, gdy młode pacholę,
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole;
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nie utrudza,
Gdzie przestępując miedzę, niepoznasz że cudza!
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po prze-
[stworzu!

Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku
 Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,
 Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha
 Dla mieszczan, mnóstwem głosów szepce mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,
 Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;
 Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,
 Również głęboko w niebie schowany skowronek;
 Ówdzie orzeł szerokiém skrzydłem przez obszary
 Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;
 Zaś jastrząb' pod jasnemi wiszący błękitny,
 Trzepie skrzydłem jak motyl na szpilce przybity,
 Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zająca,
 Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
 I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli,
 I służyć w jeździe która wojuje szaraki,
 Albo w piechocie, która nosi broń na ptaki;
 Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków
 I innych gazet oprócz domowych rachunków!

Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło
 Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło;
 I po ciemnozieloném, świeżém, wonném sianie,
 S którego młodzież sobie zrobiła posłanie,
 Rospływały się złote, migające pręgi
 Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi;
 I słońce usta sennych promykiem poranka
 Drażni, jak dziewczę kłosem budzące kochanka.
 Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim jak echo,
 Już wróble skacząc, świerkać zaczęły pod strzechą,
 Odezwały się chórem kaczki i indyki,
 I słyhać bydła w pole idącego ryki.

Wstała młodzież, Tadeusz jeszcze senny leży,
 Bo też najpóźniej zasnął; s wczorajszej wieczery
 Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu
 Jeszcze oczu nie zmrużył, a na swém posłaniu
 Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,
 I spał twardo, aż zimny wiatr w oczy mu wionął,
 Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto s trzaskiem,
 I bernardyn ksiądz Robak wszedł z węzlastym pa-
 „Surge puer“ wołając i ponad barkami [skiem
 Rubasznie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki,
 Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,
 Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie,
 Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;
 Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;
 Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,
 Psy jak szalone czwałem śmigają po dworze,
 Potém biegą i kładą szyje na obroże:
 Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;
 Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.
 Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim,
 Ale za bramą rzędem rozbiegli się długim;
 W środku jechali obok Assesor z Rejentem,
 A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,
 Rozmawiali przyjaźnie, jak ludzie honoru,
 Idąc na rostrzygnięcie śmiertelnego sporu;
 Nikt ze słów zawziętości ich poznać nie zdoła;
 Pan Rejent wiodł Kusego, Assesor Sokoła.
 S tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami
 Czwałując tuż przy kołach gadali z damami.

Książd Robak po dziedzińcu wolnym chodził

[krokiem,

Kończąc ranne pacierze; ale rzucił okiem
 Na Pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,
 Wreszcie kiwnął nań palcem, Tadeusz podjechał;
 Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby:
 Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby
 Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczyć,
 Bernardyn odpowiedzieć, ni spojrzeć nieraczył,
 Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;
 Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie w ten czas myśliwi smycze zatrzymali,
 I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali,
 Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,
 A wszyscy obrócili oczy do kamienia,
 Nad którym stał Pan Sędzia, on zwierza obaczył
 I rąk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.
 Pojęli wszyscy, stoją, a środkiem po roli
 Assesor i Pan Rejent kłusują powoli;
 Tadeusz, będąc bliższy, obudwu wyprzedził,
 Stał obok Sędziego i oczyma śledził.
 Dawno już nie był w polu; na szarój przestrzeni
 Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.

Pokazał mu Pan Sędzia; siedział biedny zając
 Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,
 Okiem czerwonym spotkał myśliwców wejrzenie,
 I jakby urzeczony, czując przeznaczenie,
 Ze strachu od ich oczu nie mógł zwrócić oka,
 I pod opoką siedział martwy jak opoka.
 Tym czasem kurz na roli rośnie coraz bliżej,
 Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokoł chyży,
 Tuż Assesor z Rejentem razem wrzaśli s tyłu:
 „Wyczha, wyczha!“ i s psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem
 Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem;
 Wiedziano w okolicy, że ten Pan nie może
 Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonej porze;
 I dziś zaspął poranek, więc na sługi zrzędził,
 Widząc myśliwców w polu czwałem do nich pędził;
 Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,
 Połami na wiatr puścił; s tyłu konno sługi,
 W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśniących,
 [małych,
 W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach
 [białych:

Sługi które Pan Hrabia tym kształtem odzieje,
Nazywają się w jego pałacu, dżokeje.

Czwałująca czereda zleciała na błonia,
Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.
Pierwszy raz widział zamek z rana, i nie wierzył
Że to były też same mury, tak odświeżył
I upięknął poranek zarysy budowy;
Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.
Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca
Nad mgłą ranną; dach z blachy złocił się od słońca,
Pod nim błyszczała w kratkach reszta szyb wybitych,
Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych;
Niższe piętra oblała tumanu powłoka,
Rospadliny i szczyrby zakryła od oka.
Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany,
Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany:
Przysiągłbyś że krzyk z zamku, że pod mgły zasłoną
Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykle i nowe,
Zwał je romansowemi; mawiał, że ma głowę
Romansową, w istocie był wielkim dziwakiem.

Nieraz pędząc za lisem albo za szarakiem,
 Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,
 Jak kot gdy ujrzy wróble na wysokości sosnie;
 Często bez psa, bez strzelby błąkał się po gaju,
 Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju
 Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,
 Jak czapla wszystkie ryby chcąc pozrzeć okiem.
 Takie były Hrabiego dziwne obyczaje,
 Wszyscy mówili że mu czegoś nie dostaje.
 Szanowano go przecież, bo pan s prapradziadów,
 Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów;
 Nawet dla żydów.

Hrabski koń zwrócony z drogi,

Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.
 Hrabia samotny wzdychał, poglądał na mury,
 Wyjął papier, ołówek i kreślił figury.
 Wtém spojrzawszy w bok — ujrział o dwadzieścia
[kroków
 Człowieka, który równie miłośnik widoków,
 Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,
 Zdawało się że liczył oczyma kamienie.

Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy
 Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.
 Szlachcic to był służący dawnych zamku panów,
 Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;
 Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,
 Marszczkami pooraną, posępną, surową.
 Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości słynął;
 Ale od bitwy, w której dziedzie zamku zginął,
 Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu,
 Ani był na kiermaszu, ani na weselu;
 Odtąd jego dowcipnych żartów niesłyszano,
 I uśmiechu na jego twarzy niewidziano.
 Zawsze nosił Horeszków liberyą dawną,
 Kurtę z połami żółtą, galonem oprawną,
 Który dziś żółty, dawniej zapewne był złoty.
 W koło szyte jedwabiem herbowne klejnoty
 Półkozice, i stąd też cała okolica
 Półkozicem przewwała starego szlachcica.
 Czasem też od przysłowia, które bez ustanku
 Powtarzał, nazywano go także Mopanku;
 Czasem Szczerbcem, że całą łysinę miał w szczer-
 Lecz on zwał się Rębajło, a o jego herbach [bach;
 Nie wiadomo. Klucznikiem siebie tytułował,

Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.
 I dotąd nosił wielki pęk kluczków za pasem,
 Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.
 Choć nie miał co otwierać; bo zamku podwoje
 Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje,
 Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,
 I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił,
 W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie;
 Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,
 Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,
 Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,
 I krewnego swych panów ukłonem zaszczycił.
 Chyląc łysinę wielką, świecącą zdaleka,
 I naciętą od licznych kordów jak nasięka,
 Gładził ją ręką, podszedł, i, jeszcze raz nisko
 Skłoniwszy się, rzekł smutnie: Mopanku, Panisko,
 Daruj mnie że tak mówię Jaśnie Grafie Panie,
 To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszanowanie:
 „Mopanku“ powiadali wszyscy Horeszkowie,
 Ostatni Stolnik pan mój miał takie przysłowie;

Czyż to prawda, Mopanku, że pan grosza skąpisz
 Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz;
 Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słyhać.
 Tu poglądając w zamek nie przestawał wzdychać.

—Cóż dziwnego, rzekł Hrabia, koszt wielki a nuda
 Jeszcze większa; chcę skończyć, lecz szlachcie maru-
 Upiera się; przewidział że mię znudzić może: [da
 Dłużej też nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,
 Przyjmę warunki zgody jakie mi sąd poda.

—Zgody? krzyknął Gerwazy, s Soplicami zgoda,
 S Soplicami, Mopanku? to mówiąc wykrzywił
 Usta, jakby nad własną mową się zadziwił.

Zgoda i Soplicowie! Mopanku, Panisko,
 Pan żartuje, co? Zamek, Horeszków siedlisko,
 Ma pójść w ręce Sopliców? niech Pan tylko raczy
 Ssiaść s konia, pójdźmy w zamek, niechno Pan obaczy;
 Pan sam nie wie co robi, niech się Pan nie wzbrania,
 Ssiadaj Pan:—i przytrzymał strzemień do ssiadania.

Weszli w zamek; Gerwazy stanął w progu sieni:
 „Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,

Często siadali w krzesłach w poobiedniej porze;
 Pan godził spory włościan, lub w dobrym humorze
 Gościom różne ciekawe historye prawił,
 Albo ich powieściami i żarty się bawił.
 A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,
 Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty.“

Weszli w sień—Rzekł Gerwazy: «W téj ogromnej
 Brukowanej, nie znajdziesz Pan tyle kamieni, [sieni
 Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach;
 Szlachta ciągnęła kufy s piwnicy na pasach,
 Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,
 Albo na imieniny Pańskie, lub na łowy.
 Podczas uczty na chórze tym kapela stała,
 I w organ i w rozliczne instrumenty grała;
 A gdy wnoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym,
 Grzmiały s chóru; wiwaty szły ciągiem porządnym—
 Pierwszy wiwat za zdrowie Króla Jegomości,
 Potém Prymasa, potém Królowej Jójmości,
 Potém Szlachty i całej Rzeczypospolitėj;
 A nakoniec po piątėj szklanicy wypitėj,
 Wnoszono: Kochajmy się. Wiwat bez przestanku,

Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku:
 A już gotowe stały cugi i podwody,
 Aby każdego odwieść do jego gospody.“

Przeszli już kilka komnat; Gerwazy w milczeniu,
 Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,
 Przywołując pamiętkę tu smutną tam miłą;
 Czasem jakby chciał mówić „wszystko się skończyło“
 Kiwnął żałością głową; czasem machnął ręką,
 Widać że mu wspomnienie samo było męką,
 I że je chciał odpędzić; aż się zatrzymali
 Na górze, w wielkiej, niegdyś zwierciadlanej sali;
 Dziś wydartych zwierciadeł stały puste ramy,
 Okna bez szyb, s krużgankiem wprost naprzeciw
 [bramy.

Tu wszedłszy starzec głowę zadumaną skłonił
 I twarz zakrył rękami; a gdy ją odsłonił,
 Miała wyraz żałości wielkiej i rozpaczy.
 Hrabia, chociaż niewiedział co to wszystko znaczy,
 Poglądając w twarz starca czuł jakieś wzruszenie,
 Rękę mu ścisnął; chwilę trwało to milczenie,
 Przerwał je starzec trzęsąc wzniesioną prawicą:

„Niemasz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą
 I krwią Horeszków; w Panukrew Horeszków płynie:
 Jesteś krewnym Stolnika po matce Łowczynie,
 Która się rodzi z drugiej córki Kasztelana,
 Który był jak wiadomo, wujem mego Pana.
 Słuchaj Pan historyi swój własnej rodzinnej,
 Która się stała właśnie w téj izbie, nie innej.

„Nieboszczyk Pan mój Stolnik, pierwszy Pan w po-
 Bogacz i familiant, miał jedyne dziecko, [wiecie,
 Córkę piękną jak anioł; więc się zalecało
 Stolnikównie i szlachty i paniąt nie mało.
 Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,
 Klótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda,
 Przez żart; w istocie wiele znaczył w województwie,
 Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,
 I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,
 Choć sam nie nieposiadał prócz kawałka roli,
 Szabli, i wielkich wásów od ucha do ucha.
 Owoż Pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha,
 I ugaszczwał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików,
 Popularny dla jego krewnych i stronników.

Wąsal tak wzbił się w dumę łaskawém przyjęciem,
 Że mu się uroiło zostać Pańskim zięciem.

Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł,
 W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieżdził
 I już miał się oświadczać, lecz pomiarkowano,
 I czarną mu polówkę do stołu podano.

Podobno Stolnikównie wpadł Soplica w oko,
 Ale przed rodzicami taika głęboko.

„Było to za Kościuszki czasów; Pan popierał
 Prawo trzeciego maja, i już szlachtę zbierał,
 Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy,
 Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy:
 Ledwie był czas z moździerza na trwożę wypalić,
 Podwoje dolne zamknąć i rygłem zawalić.
 W zamku całym był tylko: Pan Stolnik, ja, Pani,
 Kuchmistrz i dwóch kuchcików, wszyscy trzej pijani,
 Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali:
 Więc za strzelby, do okien; aż tu tłum Moskali,
 Krzycząc ura, od bramy wali po tarasie;
 My im ze strzelb dziesięciu palnęli „a zasie.“
 Nic tam nie było widać; słudzy bez ustanku

Strzelali z dolnych pięt, a ja i Pan z ganku.
 Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wiel-
 [kiój trwodze;
 Dwadzieścia strzelb leżało tu na téj podłodze.
 Wystrzeliliśmy jedną, podawano drugą,
 Xiądz Proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,
 I Pani i Panienska i nadworne Panny;
 Trzech było strzelców a szedł ogień nieustanny;
 Grad kul sypały z dołu moskiewskie piechury,
 My zrzadka, ale celniej dogrzewali z góry.
 Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,
 Ale za każdym razem trzech nogi zadarło,
 Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.
 Pan Stolnik wesoł wyszedł ze strzelbą na ganek,
 I skoro s pod lamusa moskal łeb wychylił,
 On dawał zaraz ognia a nigdy nie mylił,
 Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,
 I już się rzadko który z za ściany wykradał.
 Stolnik, widząc strwożone swe nieprzyjaciele,
 Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabelę,
 I z ganku krzyząc sługom wydawał rozkazy;
 Obróciwszy się do mnie, rzekł: za mną Gerwazy!
 Wtém strzelono s pod bramy, Stolnik się zająknął,

Zaczerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią
[chrząknął;

Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same,
Pan słaniając się palcem ukazał na bramę.

Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!

Po wzroście i po wąsach! jego to postrzałem

Zginął Stolnik, widziałem! łotr jeszcze do góry

Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z ru-

Wzięłem go na cel, zbójca stał jak skamieniały! [ry!

Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały

Chybiły; czym ze złości czy z żalu źle mierzył.

Usłyszałem wrzask kobiet, spojrzełem,—pan nie
[żył. «

Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał,

Potém rzekł kończąc: „Moskał już wrota wywalał;

Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,

I nie wiedziałem co się działo w około mnie;

Szczęściem, na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz

Przywiódłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,

Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,

A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

„Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy,
 Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,
 Ojciec włościan, brat szlachty; i nie miał po sobie
 Syna, któryby zemstę poprzysiągł na grobie!
 Ale miał sługi wierne; ja w krew jego rany
 Obmoczyłem mój rapier scyzorykiem zwany.
 (Zapewne Pan o moim słyszał scyzoryku,
 Sławnym na każdym Sejmie, targu i sejmiku.)
 Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach,
 Ścigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach;
 Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;
 Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,
 Kiedyśmy zajeżdżali z Rymszą Korelicze,
 Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę
 Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,
 Który dotąd odemnie pamiątki nie dostał!
 Rodzoniutki braciszek owego węsala,
 Żyje dotąd, i s swoich bogactw się przechwala,
 Zamku Horeszkow tyka swych kopców krawędzią,
 Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!
 I Pan mu zamek oddasz? niecne jego nogi
 Mają krew Pana mego zetrzeć s téj podłogi?
 O nie! póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,

I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy
 Syczoryk swój, wiszący dotychczas na ścianie,
 Póty Sopllica tego zamku nie dostanie!«

«O! krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry!
 Dobrze miałem przeczucie, że m lubił te mury!
 Choć nie wiedziałem że w nich taki skarb się mieści,
 Tyle scen dramatycznych, i tyle powieści!
 Skoro zamek mych przodków Sopllicom zagrabie,
 Ciebie osadzę w murach jak mego Burgrabie:
 Twoja powieść, Gerwazy, zajęła mię mocno.
 Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;
 Udrapowany płaszczem, siadłbym na ruinach,
 A tybys mi o krwawych rozpowiadał czynach;
 Szkoda że masz nie wielki dar opowiadania!
 Nie raz takie słyzałem, i czytam podania;
 W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,
 W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem
 [mordów!
 W każdej dawniej, szlachtetnej, potężnej rodzinie
 Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim
 [czynie,

Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku:
 W Polsce pierwszy raz słyszę o takim wypadku.
 Czuję że we mnie mężnych krew Horeszków płynie!
 Wiem co winienem sławie i mojej rodzinie.
 Tak! muszę zerwać wszelkie z Soplicą układy,
 Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!
 Honor każe.—Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,
 A Gerwazy szedł s tyłu w milczeniu głębokiem.
 Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,
 Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,
 Tak samotną rozmowę kończąc rostargniony:
 »Szkoda że ten Soplica stary nie ma żony!
 Lub córki pięknej, której ubóstwiałbym wdzięki!
 Kochając i niemogąc otrzymać jój ręki;
 Nowaby się w powieści zrobiła zawilość:
 Tu serce, tam powinność! tu zemsta, tam miłość!«

Tak szepecąc spał ostrogi, koń leciał do dworu,
 Gdy z drugiej strony strzelcy wyjeżdżali z boru;
 Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,
 Zapomniawszy o wszystkiem prosto ku nim skoczył,
 Mijając bramę, ogród, płoty; gdy w zawrocie

Obejrzał się, i konia zatrzymał przy płocie;
Był sad.—

Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, płacząc strąki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzie nigdzie otęłego widać brzuch harbuza,
Który od swój łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy rościęte miedzą; na każdym przykopie
Stoją jakby na straży w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone,
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle,
Na nich, myślisz iż rojem usiadły motyle

Trzepiecąc skrzydełkami, na których się mieni
 Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni,
 Tylą farb żywych, różnych, mak zrzenieć mami.
 W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
 Krągły słonecznik, licem wielkiem, gorejącem,
 Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
 Bez drzew, krzewów i kwiatów, ogród na ogórki.
 Pięknie wyrosły: liściem wielkim, rozłożystym,
 Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.
 Pośrodku, szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,
 W majowej zieloności tonąc po kolana;
 Z grząd zniżając się w brózdy, zdała się nie stąpać,
 Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.
 Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,
 Od skroni powiewały dwie wstążki różowe
 I kilka pukłów światłych, rozwitych warkoczy;
 Na rękę miała koszyk, w dół spuściła oczy,
 Prawą rękę podniosła, niby do chwytania;
 Jako dziewczę gdy rybki w kąpieli ugania
 Bawiące się z jej nóżką, tak ona co chwila

Z rękami i koszykiem po owoc się schyla,
Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia, zachwycony tak cudnym widokiem,
Stał cicho. Słyszając tentent towarzyszków w dali,
Ręką dał znak ażeby wstrzymać konie; stali.
On patrzył z wyciągniętą szyją; jak dziobaty
Żuraw, zdala od stada gdy odprawia czaty,
Stojąc na jednej nodze, s czujnemi oczyma,
I by nie zasnąć kamień w drugiej nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;
Był to Bernardyn kwestarz Robak, a miał w dłoni
Podniesione do góry węzłowate sznurki:
„Ogórków chcesz Waś, krzyknął, oto masz ogórki.
Wara Panie od szkody! na tutejszej grzędzie
Nie dla Waszeci owoc, nie s tego nie będzie.“ —
Potém palcem pogroził, kaputra poprawił,
I odszedł; Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił,
Śmiejąc się i klnąc razem tój nagłej przeszkodzie;
Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie
Niebyło jój; mignęła tylko śród okienka

Jéj różowa wstążeczka i biała sukienka.
 Widać na grzędach jaką przeleciała drogą,
 Bo liść zielony, w biegu potracony nogą,
 Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,
 Jak woda którą ptaszek skrzydłami roskroił.
 A na miejscu gdzie stała, tylko porzucony
 Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,
 Pogubiwszy owoce na liściach zawisał,
 I wśród fali zielonéj jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho;
 Hrabia oczy w dom utkwiał i natężył ucho,
 Zawsze dumał, a strzelec zawsze nieruchomie
 Za nim stali.—Aż w cichym i samotnym domie
 Wszczął się naprzód szmer, potém gwar i krzyk we-
 Jak w ulu pustym kiedy weń wlatują pszczoły: [soły,
 Był to znak że wracali goście s polowania,
 I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,
 Roznoszono potrawy, sztuczce i butelki;

Mężczyźni tak jak weszli, w swych zielonych stro-
 Stalerzami, s szklankami, chodząc po pokojach, [jach
 Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,
 Rosprawiali o flintach, chartach i szarakach;
 Podkomorstwo i Sędzia przy stole; a w kątku
 Panny szeptały s sobą; nie było porządku,
 Jaki się przy obiadach i wieczernach chowa,
 Była to w staropolskim domie moda nowa;
 Przy śniadaniach, Pan Sędzia choć nierad pozwalał
 Na taki nieporządek, lecz go niepochwalał.

Różne też były dla dam i mężczyzn potrawy:
 Tu roznoszono tace s całą służbą kawy,
 Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,
 Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,
 I s porcelany saskiej złote filiżanki;
 Przy każdej garnuszeczek mały do śmietanki.
 Takić kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju:
 W Polsce, w domu porządnym, z dawnego zwy-
 Jest do robienia kawy osobna niewiasta, [czaju,
 Nazywa się Kawiarka; ta sprowadza z miasta,
 Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,

I zna tajne sposoby gotowania trunku,
 Który ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu,
 Zapach moki i gęstość miodowego płynu.
 Wiadomo, czém dla kawy jest dobra śmietana,
 Na wsi nie trudno o nią: bo kawiarka z rana
 Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,
 I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
 Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
 Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę,
 Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
 Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
 W którym twaróg gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru,
 Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
 Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym
 Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
 W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie:
 Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona:
 Starszyczna przy stoliku małym zgromadzona
 Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,
 O nowych coraz sroższych ukazach cesarskich;
 Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski
 Oceniał i wyciągał polityczne wnioski.
 Panna Wojska, włożywszy okulary sine,
 Zabawiała kabałą s kart Podkomorzynę.
 W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,
 W spokojniejszych i cichszych niż zwykle rozmowa
 Bo Assesor i Rejent, oba mówcy wieley, [wach:
 Pierwsi znawcy myślistwa i najlepsi strzelcy,
 Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni;
 Oba dobrze poszczuli, oba byli pewni
 Zwycięstwa swoich chartów, gdy pośród równiny
 Znalazł się zagon chłopskiej, niezżętej jarzyny;
 Tam wpadł zając: już Kusy, już go Sokoł imał,
 Gdy Sędzia dojeżdżaczy na miedzy zatrzymał;
 Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie;
 Psy powróciły same: i nikt pewnie niewie,
 Czy zwierz uszedł, czy wzięty; nikt zgadnąć nie
 [zdola,
 Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,

Czyli obódwu razem: różnie sądzą strony,
I spór na dalsze czasy trwał nierostrzygniony.

Wojski stary od izby do izby przechodził,
Po obu stronach oczy rostargnione wodził,
Nie mieszał się w myśliwych, ni w starców rozmowę,
I widać że czém inném zajęta miał głowę;
Nosił skórzaną plackę: czasem w miejscu stanie,
Duma długo, i—muchę zabije na ścianie.

Tadeusz z Telimeną pomiędzy izbami
Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami;
Niewielki oddzielał ich od słuchaczy przedział,
Więc szeptali; Tadeusz teraz się dowiedział:
Że ciocia Telimena jest bogata Pani,
Że nie są kanonicznie s sobą powiązani
Zbyt bliskiem pokrewieństwem i nawet niepewno
Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,
Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice
Tak ich kiedyś nazwali mimo lat różnicę;
Że potem ona żyjąc w stolicy czas długi
Wyrządziła niezmierne Sędziemu usługi;

Stąd ją Sędzia szanował bardzo i przed światem
 Lubił może s próżności, nazywać się bratem,
 Czego mu Telimena przez przyjaźń nie wzbrania.
 Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania.
 Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;
 A wszystko to się stało w jednej krótkiej chwili.

Ale w izbie na prawo, kuszając Assesora
 Rzekł Rejent mimojazdem: »ja mówiłem wczora,
 Że polowanie nasze udać się nie może:
 Jeszcze zbyt wczesnie, jeszcze na pniu stoi zboże,
 I mnóstwo sznurów chłopskiej niezżętej jarzyny;
 Stąd i Hrabia nie przybył mimo zaprosiny.
 Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,
 Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie;
 Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,
 I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa
 Polować tak jak u nas, bez żadnego względu
 Na artykuły ustaw, przepisy urzędu;
 Nieszanując niczyich kopców ani miedzy,
 Jeździć po cudzym gruncie, bez dziedzica wiedzy;
 Wiosną równie, jak latem zbiegać pola, knieje,

Zabijać nieraz lisa właśnie gdy linieje,
 Albo cierpieć iż kotną samicej zajęczą
 Charty w runi uszczują, a raczėj zameczą,
 Z wielką szkodą zwierzyny. Stąd się Hrabia żali,
 Że cywilizacya większa u Moskali;
 Bo tam o polowaniu są ukazy Cara
 I dozor policyi i na winnych kara. c

Telimena, ku lewój izbie obrócona,
 Wachlując batystową chusteczką ramiona,
 „Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się niemyli,
 Znam ja dobrze Rossyą. Państwo niewierzyli
 Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów
 Godna pochwały czujność i srogość urzędów.
 Byłam ja w Petersburku, nie raz, nie dwa razy!
 Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!
 Co za miasto! Nikt s Panów nie był w Petersburku?
 Chcecie może plan widzieć, mam plan miasta
 [w biórku.
 Latem świat Petersburski zwykł mieszkać na daczy,
 To jest w pałacach wiejskich (dacza wioskę znaczy);
 Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,

Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,
 Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:
 Ach coto był za domek! plan mam dotąd w biórku. «

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernar-
 [dynem
 Grał w maryasza, i właśnie z wyswieconém winem
 Miał coś ważnego zadać; już ksiądz ledwo dyszał,
 Kiedy Sędzia początek powieści posłyszał;
 I tak nią był zajęty, że z zadartą głową,
 I s kartą podniesioną, do bicia gotową,
 Siedział cicho i tylko Bernardyna trwożył,
 Aż gdy skończono powieść, Pamfila położył,
 Irzekł śmiejąc się: niech tam sobie kto chce chwali
 Niemców cywilizacją, porządek Moskali;
 Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów
 Prawować się o lisa, i przyzywać drabów
 By wziąć w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje;
 Na Litwie chwała Bogu stare obyczaje;
 Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,
 I nie będziemy nigdy o to robić śledztwa;
 I zboża mamy dosyć, psy nas nie ogłodzą,

Że po jarzynach albo po życie pochodzą;
 Na morgach chłopskich bronię robić polowanie.

Ekonom z lewój izby rzekł: niedziw Mospanie,
 Bo też Pan drogo płaci za taką zwierzynę.
 Chłopy i radzi temu; kiedy w ich jarzynę
 Wskoczy chart, niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta
 To Pan im kopę oddasz i jeszcze nie kwita,
 Często chłopi talara w przydatku dostali;
 Wierz mi Pan że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,
 Jeśli.—Resztę dowodów Pana Ekonoma
 Nie mógł usłyszyć Sędzia, bo pomiędzy dwoma
 Rosprawami, wszczęło się dziesięć rozmów,
 Anegdot, opowiadań, i nakoniec sporów.

Tadeusz s Telimeną całkiem zapomniani,
 Pamiętali o sobie.—Rada była Pani,
 Że jój dowcip tak bardzo Tadeusza bawił;
 Młodzieniec jój nawzajem komplementy prawił,
 Telimena mówiła coraz wolniej, ciszej,
 I Tadeusz udawał że jój niedosłyszy
 W tłumie rozmów: więc szepcząc tak zbliżył się do
 [niej,

Że uczuł twarzą lubą gorącość jój skroni,
 Wstrzymując oddech, usta chwycił jój westchnienie
 I okiem łowił wszystkie jój wzroku promienie.

Wtém pomiędzy ich usta, mignęła znienacka
 Naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka.

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy niemi
 Gatunek much osobny, zwany szlacheckimi;
 Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,
 Ale piers mają szerszą, brzuch większy od gminnych,
 Latając bardzo huczają i nieznośnie brzęczą,
 A tak silne, że tkankę przebija pajęczą,
 Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzie bzykać,
 Bo s pajakiem sam na sam może się borykać.
 Wszystko to Wojski zbadał, i jeszcze dowodził
 Że się s tych much szlacheckich pomniejszy lud ro-
 Że one tém są muchom, czém dla roju matki, [dził,
 Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki.
 Prawda że Ochmistrzyni, ani Pleban wioski,
 Nie uwierzyli nigdy w te Wojskiego wnioski
 I trzymali inaczej o muszym rodzaju;

Lecz Wojski nie odstąpił dawnego zwyczaju,
 Ledwo dostrzegł takową muchę, wnet ją gonił.
 Właśnie mu teraz szlachcic nad uchem zadzwonił,
 Podwakroć Wojski machnął, zdziwił się że chybił,
 Trzeci raz machnął, tylko co okna nie wybił;
 Aż mucha odurzona od tyła łoskotu,
 Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,
 Rzuciła się z rozpaczą pomiędzy ich lica;
 I tam za nią mignęła Wojskiego prawicą:
 Raz tak był tęgi, że dwie odskoczyły głowy,
 Jak rozdarte piorunem dwie drzewa połowy;
 Uderzyły się mocno oboje w uszaki,
 Tak że obojgu sine zostały się znaki.

Szcęściem nikt nie uważał, bo dotychczasowa
 Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa,
 Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu:—
 Jak strzelcy gdy na lisa zaciągną do lasu,
 Słysząc gdzieniegdzie trzask drzew, strzały, psiar-
 [ni granie,
 A wtém dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,
 Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów
 [tłuszczy,

Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy;
 Tak dzieje się z rozmową: zwolna się pomyka,
 Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.
 Dzikiem rozmów strzeleckich, był ów spór zażarty
 Rejenta z Assesorem o sławne ich charty.
 Krótko trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę;
 Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,
 Że wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części,
 Przycinki, gniew, wyzwanie—i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugieój izby wszyscy się porwali,
 I tocząc się przeze drzwi nakształt bystrzej fali,
 Unieśli młodą parę stojącą na progu,
 Podobną Janusowi, dwólicemu bogu,
 * Który gdy wyroczemi skrzypnie zawiasami
 Krzyczą dzieci i matki zlewają się łzami. *

Tadeusz z Telimeną, nim na skroniach włosy
 Poprawili, już groźne uciehły odgłosy,
 Szmer zmieszany ze śmiechem wśród ciżby się szerzył,
 Nastąpił rozejm kłótni, kwestarz ją uśmierzył,
 Człowiek stary, lecz krępy, i bardzo pleczysty.

Właśnie kiedy Assesor podbiegł do Jurysty,
 Gdy już sobie gestami grozili szermierze,
 On raptem porwał obu s tyłu za kołnierze,
 I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne
 Jedne o drugą jako jaja wielkanocne,
 Roskrzyżował ramiona nakształt drogoskazu
 I we dwa kąty izby rzucił ich od razu;
 Chwilę z rościągnionemi stał w miejscu rękami,
 I pax, pax, pax vobiscum, krzyczał, pokój z wami!

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie:
 Przez szacunek należny duchownej osobie,
 Nieśmiano łąjąc mnicha; a po takiej próbie
 Nikt też nie miał ochoty zaczynać z nim zwadę;
 Zaś kwestarz Robak skoro uciszył gromadę,
 Widać było że weale tryumfu nie szukał,
 Ani groził kłótnikom więcej, ani fukał;
 Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem
 Zatknąwszy, wyszedł cicho s pokoju.

Tymczasem

Podkomorzy Sędzia między dwiema strony

Plac zajęli. Pan Wojski, jakby przebudzony
 Z głębokiego dumania, w środku się postawił,
 * Wąsy siwe pokręcił, kapoty poprawił,
 Iskrzyły mu się oczy; (zawsze postrzegano
 Ten blask niezwykły kiedy o łowach gadano) *
 Obiegał zgromadzenie ognistą zrenicą,
 I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,
 Tam uciszając machał swą placką ze skóry;
 Wreszcie podniósłszy trzonek s powagą do góry,
 Jak laskę marszałkowską, nakazał milczenie.

„Uciszcie się! powtarzał, miejcie też baczenie,
 Wy co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,
 Z gorszącej kłótni waszój co będzie? czy wiecie?
 Oto młodzież, na której Ojczyzny nadzieje,
 Która ma wślawiać nasze ostępy i knieje,
 Która niestety, i tak zaniedbuje łowy,
 Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy!
 Widząc, że ci co innym mają dać przykłady,
 Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady.
 Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych;
 Bo znałem większych dawniej niżli wy myśliwych,
 A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.

Któż był w lasach Litewskich Rejtanowi równym?
 Czy obławę zaciągnąć, czy spotkać się z zwierzem,
 Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?
 Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota,
 Co kulą s pistoletu w biegu trafiał kota?
 Terajewicza znałem, co idąc na dziki
 Nie brał nigdy innego oręża prócz piki!
 Budrewicza co chodził z niedźwiedziem w zapasy:
 Takich mężów widziały niegdyś nasze lasy!
 Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili?
 Oto obrali sędziów, i zakład stawili.
 Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka,
 Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka!
 I wy Panowie pójdźcie za starych przykładem,
 I rostrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.
 Słowo wiatr, w sporach słownych nigdy nie masz
 Szkoda ust dłużej suszyć kłótnią o zająca; [końca,
 Więc polubownych sędziów najpierw obierzcie,
 A co wyrzekną, temu sumiennie zawiercie.
 Ja uproszę Sędziego, ażeby niebronił
 Dojeżdżaczowi, choćby po pszenicy gonił;
 I tuszę że tę łaskę otrzymam od Pana.“
 To wyrzekłszy, Sędziego ścisnął za kolana.

„Konia, zawołał Rejent, stawię konia z rzędem,
 I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,
 Iż ten pierścień Sędziemu w salarium złożę.“
 — „Ja, rzekł Assesor, stawię me złote obroże,
 Jaszczurem wykładane s kólkami ze złota,
 I smycz tkany jedwabny, którego robota,
 Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.
 Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla
 Jeślibym się ożenił: ten sprzęt mnie darował [dzieci,
 Książę Dominik, kiedym z nim razem polował
 I z marszałkiem Sanguszką księciem, z jenerałem
 Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwałem.
 Tam, bezprzykładną w dziejach polowania sztuką,
 Uszczułem sześć zajęcy pojedynczą suką.
 Polowaliśmy wtenczas na Kupiskim błoniu;
 Książę Radziwił niemógł dosiedzieć na koniu;
 Ssiadł, i objąwszy sławną mą charcicę Kanię,
 Trzykroć jój w samą głowę dał pocałowanie,
 A potem trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,
 Rzekł, mianuję cię odtąd Księżną na Kupisku.—
 Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa,
 Od miejsc na których wielkie odnieśli zwycięstwa.“

Telimena znudzona zbyt długimi swary,
 Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary,
 Wzięła koszyczek s kołka: „Panowie, jak widzę,
 Chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze;
 Kto łaskaw, proszę za mną;“ rzekła—koło głowy
 Obwijając czerwony szal kaszemirowy;
 Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,
 A drugą podchyliła do kostek sukienkę;
 Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pośpieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył,
 Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,
 A więc krzyknął: „Panowie, po grzyby do boru!
 Kto z najpiękniejszym rydzem do stołu przybędzie,
 Ten obok najpiękniejszej panienci usiedzie;
 Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,
 Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.

* Dalej na Rydze! Waszeć mości Rotmistrzysko,
 Każ wnieść stół obiadowy, tylko nie w zamczysko. *

OMIŁOŚĆ

KSIEGA TRZECIA.

U M I Z G I .

TREŚĆ.

Wyprawa Hrabi na sad.—Tajemnicza nimfa gęsi pasie.—Podobieństwo grzybo-brania do przechadzki cieniów elizejskich.—Gatunki grzybów.—Telimena w świątyni dumania.—Narady dotyczące się postanowienia Tadeusza.—Hrabia pejzażysta—Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami.—Hrabięgo myśli o sztuce.—Dzwon.—Bilecik.—Niedźwiedz—Mospanie!

Hrabia wracał do siebie lecz konia wstrzymywał,
 Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał;
 I raz mu się zdawało, że znowu z okienka,
 Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,
 I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,
 I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,

Pomiędzy zielonemi świeciło ogórki:

Jako promień słoneczny wykradłszy się s chmurki

Kiedy śród roli padnie na krzemienia skibę,

Lub śród zielonój łąki w drobną wody szybę.

Hrabia ssiadł s konia, sługi odprawił do domu,

A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu;

Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory,

I weisnął się pocichu, jak wilk do obory;

Nieszczęściem, trącił krzaki suchego agrestu.

Ogrodniczka jak gdyby złąła się szelestu,

Oglądała się wkoło, lecz nic niespostrzegła;

Przecież ku drugiej stronie ogrodu pobiegła.

A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,

Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,

Skacząc jak żaba, cicho przyczołgał się blisko,

Wytknął głowę, i ujrzał cudne widowisko.

W tej części sadu, rosły tu i ówdzie wiśnie,

Śród nich zboże w gatunkach zmieszanych umyślnie:

Pszenica, kukuruza, bob, jęczmień wąsaty,

Proso, groszek, a nawet krzewiny i kwiaty.

Domowemu to ptastwu, taki ochmistrzynie
 Wymyśliła ogródek: sławna gospodyni,
 Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowi-
 czówna; jój wynalazek epokę stanowi
 W domowém gospodarstwie; dziś powszechnie znany,
 Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,
 Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,
 Nim go wydał kalendarz, pod tytułem: *Sposób*
Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek
Wychowywania drobiu—był to ów ogródek.

Jakoż zaledwie kogut, co odprawia warty,
 Stanie, i nieruchomie dzierżąc dziób zadarty,
 I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,
 Aby tém łatwiej w niebo mógł celować okiem,
 Dostrzeże wiszącego jastrzębia wśród chmury;
 Krzyknie: zaraz w ten ogród chowają się kury,
 Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestrichu
 Gołębie, gdy nie mogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego nie widziano wroga,
 Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga,

Od niej ptaki w zbożowym ukryły się lasku;
 Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.

Śród ptaszyczych głów sterczały główki ludzkie małe,
 Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;
 Szyje nagie do ramion, a pomiędzy niemi
 Dziewczyna głową wyższą, z włosami dłuższymi;
 Tuż za dziećmi paw' siedział, i piór swych obręcze
 Szeroko rozprzestrzenił w różnofarbną tęczę,
 Na której główki białe, jak na tle obrazku,
 Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,
 Obrysowane w koło kręgiem pawich oczu,
 Jak wiankiem gwiazd świeciły w zbożu jak w prze-
 Pomędzy kukuruzy złocistemi laski, [zroczu,
 I angielską trawicą posrebrzaną w paski,
 I szczyrem koralowym, i zielonym ślazem,
 Których kształty i barwy mieszały się razem,
 Niby krata ze srebra i złota pleciona,
 A powiewna od wiatru jak lekka zasłona.

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badyłów
 Wisiała jak baldakim jasna mgła motylów,

Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka
 Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
 Gdy w powietrzu zawisną zaledwo widome,
 I chociaż brzęczą, myślisz że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w rękę
 Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku,
 Nią zdała się oganiać główki niemowlęce
 Od złotego motylów deszczu—w drugiej ręce
 Coś u niej rogatego, złocistego świeci,
 Zdaje się że naczynie do karmienia dzieci:
 Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei,
 Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę
 Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,
 Nie wiedząc że napastnik już s przeciwnój strony
 Zbliżył się, czołgający jak wąż przez zagony;
 Aż wyskoczył z łopuchu, spojrziała,—stał blisko,
 O cztery grzędy od niej i kłaniał się nisko.
 Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,
 I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,

I już lekkie jój stopy wionęły nad liściem,
 Kiedy dzieci przelekle podróżnego wniściem
 I uciezką dziewczyny, wrzasnęły okropnie;
 Posłyszała, uczuła że jest nierostropnie
 Działwę małą, przeleklą i samą porzucić:
 Wracała wstrzymując się, lecz musiała wrócić,
 Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem;
 Przybiegła z najkrzykliwszém bawić się dziecięciem,
 Siadła przy niém na ziemi, wzięła je na łono,
 Drugie głaskała ręką i mową pieszczoną;
 Aż się uspokoiły, objąwszy w rączęta
 Jój kolana i tuląc główki jak pisklęta
 Pod skrzydło matki. Ona rzekła: „czy to pięknie
 Tak krzyczeć? czy to grzecznie? ten Pan was się
 [złęknie,
 Ten Pan nie przyszedł straszyć, to nie dziad szka-
 [radny,
 To gość, dobry Pan, patrzcie tylko jaki ładny.“

Sama spójrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,
 I widocznie był wdzięczen jój za pochwał tyle;
 Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,
 I jako róży pączek cała się spleonila.

W istocie był to piękny Pan: słusznój urody,
 Twarz miał pociągłą, blade lecz świeże jagody,
 Oczy modre, łagodne, włos długi, białawy;
 Na włosach, listki ziela i kosmyki trawy,
 Które Hrabia oberwał pełznąc przez zagony,
 Zielieniły się jako wieniec rospleciony.

„O ty, rzekł, jakiémkolwiek uczczę cię imieniem,
 Bóstwem jesteś czy Nimfą, duchem czy widzeniem!
 Mów! własnali cię wola na ziemię sprowadza,
 Obcali więzi ciebie na padole władza?
 Ach domyślam się—pewnie wzgardzony miłośnik
 Jaki Pan możny, albo opiekun zazdrośnik,
 W tym cię parku zamkowym jak zaklętą strzeże!
 Godna by o cię bronią walczyli rycerze,
 Byś została romansów heroiną smutnych!
 Odkryj mi piękna tajnie twych losów okrutnych!
 Znajdziesz wybawiciela—odtąd twém skinieniem,
 Jak rządysz sercem mojem, tak rządź mém ramie-
 Wyciągnął ramie— [niem.“

Ona z rumieńcem dziewiczém,
 Ale z rozweseloném słuchała obliczem:

Jak dziecko lubi widzieć obrazki jaskrawe
 I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,
 Nim rozezna ich wartość, tak się słuch jój pieści
 Z dźwięcznemi słowy, których niepojęła treści.
 Nakoniec zapytała: „skąd tu Pan przychodzi?
 I czego tu po grzędach szuka Pan Dobrodziej?”

Hrabia oczy roztworzył, zmieszany, zdziwiony,
 Milczał; wreszcie zniżając swój rozmowy tony,
 Przepraszam, rzekł, Panienko! widzę że pomieszał
 Zabawy! ach przepraszam, jam właśnie pośpieszał
 Na śniadanie; już późno, chciałem na czas zdążyć,
 Panienska wie że drogą trzeba w koło krążyć,
 Przez ogród zdaje mi się jest do dworu prościój.
 Dziewczyna rzekła: tędy droga Jegomości;
 Tylko grząd psuć nietrzeba; tam między murawą
 Ścieszka.—W lewo, zapytał Hrabia, czyna prawo?
 Ogrodniczka podniósłszy błękitne oczęta,
 Zdawała się go badać ciekawością zdjęta:
 Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,
 A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niej
 Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu

Rozmowy.—„Panna mieszka tu? blisko ogrodu?
 Czy na wsi? jakto było, żem Panny we dworze
 Nie widział? czy niedawno tu? przyjezdna może?
 Dziewcze wstrząsnęło głową; — Przepraszam Pa-
 [nienko,
 Czy nie tam pokój Panny, gdzie owe okienko?“

Myślił zaś w duchu, jeśli nie jest heroiną
 Romansów, jest młodziuchną, prześliczną dziewczyną.
 Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta [ną.
 W samotności, jak róża wśród lasów rozkwita;
 Dostyc ją wynieść na świat, postawić przed słońcem
 Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem!

Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,
 Podniosła jedno dziecko zwisłe na ramieniu,
 Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem.
 Zaganiając jak gąski, szła dalej ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła: czy też Pan nie może
 Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?
 —Ja ptastwo pędzać? krzyknął Hrabia z zadziwie-
 [niem;

Ona tymczasem znikła zakryta drzew cieniem.
Chwilę jeszcze s szpaleru przez majowe zwoje
Przyświecało coś na wśkrós jakby oczu dwoje.

Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie;
Dusza jego jak ziemia po słońca zachodzie,
Ostygła powoli, barwy brała ciemne:
Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne.
Zbudził się, sam niewiedząc na kogo się gniewał;
Niestety mało znalazł! nadto się spodziewał!
Bo gdy zagonem pełznął ku owéj pasterce,
Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce;
Tyle wdzięków w tajemnej nimfie upatrywał,
W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał!
Wszystko znalazł inaczej: prawda że twarz ładną,
Kibić miała wysmukłą, ale jak nieskładną!
A owa pulchność liców i rumieńca żywość
Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość!
Znak że myśl jeszcze drzémie, że serce nieczynne:
I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne!
Po cóż się ludzi, krzyknął, zgaduję, po czasie!
Moja nimfa tajemna pono gęsi pasie!

Z nimfy zniknięciem całe czarowne przezrocze
 Zmieniło się: te wstęgi, te kraty urocze
 Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanemi poglądał rękoma
 Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,
 Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy.
 Niezapomniał naczynia: złocista konewka,
 Ów rożek Amaltei, była to marchewka!
 Widział ją w ustach dziecka pożeraną chciwie:
 Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec kiedy ujrzy cykoryi kwiaty
 Wabiące dłoń miękkimi, lekkimi bławaty,
 Chee je pieścić, zbliża się, dmuchnie, i s podmuchem
 Cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem,
 A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy
 Nagą łodygę szaro-zielonawój trawy.

Hrabia wcisnął na oczy kapelusz i wracał
 Tamtędy kędy przyszedł, ale drogę skracał,
 Stąpając po jarzynach, kwiatach i agreście,

Aż przeskoczywszy parkan odetchnął nareście!
 Przypomnił że dziewczynie mówił o śniadaniu;
 Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu
 W ogrodzie, blisko domu? może szukać wysłą?
 Postrzegli że uciekał? kto wie co pomyśla?
 Więc wypadało wrócić. Chyląc się u płotów
 Około miedz i zielska, po tysiącach zwrotów
 Rad był przecież że wyszedł w końcu na gościniec,
 Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.
 Szedł przy płocie a głowę odwracał od sadu,
 Jak złodziej od śpichlerza, aby nie dać śladu
 Że go myśli nawiedzić, albo już nawiedził,
 Tak Hrabia był ostrożny, choć go nikt nie śledził;
 Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,
 Po jój kobiercach, na wskrós białych pniów brzozo-
 Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych, [wych,
 Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
 Niby tańce, i dziwny ubior: istne duchy
 Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych ciasnych,
 Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg ja-
[snych;

Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokiém,
Ten z gołą głową; inni jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zasłony
Ciągące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innéj postawie: ten przyrosł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczeni,
Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy,
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo niezboczy;
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,
Ani mówią do siebie, ani się witają,
Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.
Hrabia widział w nich obraz Elizejskich cieni,
Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,
Błąkają się spokojne, ciche, lecz posępne.

Któżby zgadnął że owi, tak mało ruchomi,
Owi milczący ludzie, są nasi znajomi?
Sędziowscy towarzysze! z hucznego śniadania
Wyszli na uroczysty obrzęd grzybo-brania:
Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować

Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
 W każdej okoliczności do miejsca i czasu.
 Dla tego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,
 Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
 Służące do przechadzki opończe płócienne,
 Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,
 A na głowy słomiane wdziali kapelusze,
 Stąd biali wyglądają, jak czyscowe dusze.
 Młodzież także przebrana, oprócz Telimeny
 I kilku po francusku chodzących.

Téj sceny

Hrabia niepojął, nieznał wiejskiego zwyczaju,
 Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice,
 Tyle w pieśniach litewskich sławione *lisice*,
 Co są godłem panieństwa: bo czerw ich niejada
 I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
 Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*
 Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.
 Wszyscy dybią na *rydza*; ten wzrostem skromniejszy

I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennój pory,
 Czy zimą. Ale Wojski zbierał *muchomory*.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,
 Lecz nie są bez użytku, one zwierza pasą
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
 Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
 Naczyń stołowych sterczą: tu s kragłemi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
 Niby czareczki różném winem napełnione;
Kozłak jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki kragłe, białe, szerokie i płaskie,
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
 I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka—zaś innych imiona
 Znane tylko w zajęczym, lub wileczym języku,
 Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.
 Ni wilezych ni zajęczych nikt dotknąć nieraczy,
 A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,

Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie;
 Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nierostropnie.
 Telimena ni wilezych, ni ludzkich niezbiera,
 Rostargniona, znudzona, do koła spoziera,
 Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie
 Mówił o niój, że grzybów szukała na drzewie;
 Assesor ją złośliwiej równał do samicy,
 Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy,
 Oddalała się zwolna od swych towarzyszy,
 I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,
 Ocieniony, bo drzewa gęściej na nim rosły.
 Wśrodku szarzał się kamień; strumień s pod kamie-
 Szumiał, tryskał, i zaraz, jakby szukał cienia, [nia
 Chował się między gęste i wysokie zioła,
 Które wodą pojone bujały do koła;
 Tam ów bystry swawolnik spowijany w trawy,
 I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,
 Niewidzialny i ledwie dosłyszany szepce,
 Jako dziecko krzykliwe złożone w kolebce,
 Gdy matka nad niém zwiąże franki majowe

I liścia makowego nasypie pod głowę:
 Miejsce piękne i ciche, tu się często schrania
 Telimena, zowiąc je *Świątynią dumania*.

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik
 Z ramion swój szal powiewny, czerwony jak krwa-
 I podobna pływaczce, która do kąpieli [wnik,
 Zimnej schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,
 Klęknęła i powoli chyliła się bokiem;
 Wreszcie, jakby porwana koralu potokiem,
 Upadła nań i cała wzdłuż się rozpostarła,
 Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,
 Z głową na dół skłonioną; na dole u głowy,
 Błysnął francuskiej książki papier welinowy;
 Nad alabastrowemi stronicami księgi,
 Wiły się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnych traw, na krwawnikowym
 W sukni dłuższej, jak gdyby w powłoce koralu [szalu,
 Od której odbijał się włos z jednego końca,
 Z drugiego czarny trzewik; po bokach błyszcząca
 Śnieżną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,

Wydawała się zdala jak pstra gęsienica,
Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

Niestety!

Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety,
Darmo czekały znawców, nikt niezważał na nie,
Tak mocno zajmowało wszystkich grzybo-branie.
Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,
I nieśmiejąc iść prosto, przysuwał się bokiem:
Jak strzelec gdy w ruchomój, gałęzistej szopie,
Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,
Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,
Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,
Niby to bronę włóczy, niby jedzie miedzą,
A coraz się przybliża kędy ptaki siedzą;
Tak skradał się Tadeusz.

Sędzia czaty zmieszał

I przeciąwszy mu drogę, do źródła pośpieszał.
Z wiatrem igrały białe poły sarafana,
I wielka chustka w pasie końcem uwiązana;
Słomiany, podwiązany kapelusz, od ruchu

Nagłego, chwiał się z wiatrem jako liść łopuchu,
 Spadając to na barki, to znowu na oczy;
 W ręku ogromna łaska: tak Pan Sędzia kroczy.
 Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,
 Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,
 I, wsparłszy się oburącz na gałkę słoniową
 Trzciny ogromnej, s taką ozwał się przemową.

„Widzi Aśka, od czasu jak tu u nas gości
 Tadeuszek, niemało mam niespokojności;
 Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyna,
 Wszakto moja na świecie pociecha jedyna,
 Przyszły dziedzie fortunki mojej. Z łaski nieba
 Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;
 Już mu też czas obmyśleć los, postanowienie:
 Ale zważajno Aśka moje utrapienie!
 Wiesz że Pan Jacek, brat mój, Tadeusza ociec
 Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,
 Niechce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje,
 Nawet niechce synowi oznajmić że żyje,
 A ciągle nim zarządza. Naprzód w legiony
 Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony.

Potém zgodził się przecie by w domu pozostał
 I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;
 Partycę upatrzyłem; nikt z obywateli
 Niewyrówna z imienia ani z parenteli
 Podkomorzemu; jego starsza córka Anna
 Jest na wydaniu, piękna i posażna Panna.
 Chciałem zagaić. — Na to Telimena zbladła,
 Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

„Jak Mamę kocham, rzekła, czy to Panie bracie
 Jest w tém sens jaki, czy wy Boga w sercu macie?
 To myślisz Tadeusza zostać dobrodziejem,
 Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem!
 Świat mu zawiązesz! wierz mi, kląć was kiedyś bę-
 Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie! [dzie!
 Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecko,
 Warto, żeby na wielkim przetarło się świecie;
 Dobrze brat robi gdy go do stolicy wyśle;
 Naprzykład do Warszawy? lub wie brat co myślę,
 Żeby do Petersburka? Ja pewnie téj zimy
 Pojadę tam dla sprawy, razem ułożymy
 Co zrobić s Tadeuszem; znam tam wiele osób,

Mam wpływy: to najlepszy kreacyi sposób.
 Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,
 A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,
 Dostanie urząd, order; wtenczas niech porzuci
 Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,
 Mając już i znaczenie i znajomość świata.
 I cóż brat myśli o tém? — „Jużci w młode lata,
 Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,
 Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzść;
 Ja za młodu niemało świata objechałem,
 Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem
 Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy
 Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.
 Człek niemało skorzystał! chciałbym i synowca
 Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,
 Jak czeladnika który terminuje lata
 Ażeby nabył trochę znajomości świata.
 Któryż to z dawnych Panów, ba nawet dzisiejszych,
 Między szlachtą w powiecie nieco zamożniejszych,
 Dba o podobne fraszki? przecież są w estymie
 U ludzi, bo szanujem w nich ród, dobre imie,
 Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem
 Obywatelskim, nie zaś czyimś tam faworem.“ —

Telimena przerwała: „Jeśli brat tak myśli,
Tém lepij, więc go jako wojażera wyslij.“

„Widzi siostra, rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie
[głowę,
Chciałbym bardzo, cóż kiedy mam trudności nowe!
Pan Jacek nie wypuszcza z opieki swój syna,
I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna
Robaka, który przybył s tamtėj strony Wisły,
Przyjaciel brata, wszystkie wié jego zamysły;
A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,
I chcą by się ożenił, aby pojał Zosię,
Wychowankę Wać Pani; oboje dostaną,
Oprócz fortunki mojej, z łaski Jacka wiano
W kapitałach; wiesz Aséka że ma kapitały
I z łaski jego mam też fundusz prawie cały,
Ma więc prawo rozrządzać.—Aséka pomyśl o tém
Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem;
Trzeba ich s sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,
Szczególnie Zosia mała, lecz to nic nie szkodzi;
Czasby już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,
Bo wszakei to już pono wyrasta z dziecięcia.“

Telimena zdziwiona i prawie wylęka,
 Podnosiła się coraz, na szalu uklęka,
 Zrazu słuchała pilnie, potem dłoni ruchem
 Przeczyła, rękę zwawo wstrząsając nad uchem,
 Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa
 Na powrót w usta mówcy.

„A! A! to rzecz nowa!

Czy to Tadeuszowi szkodzi czy nieszkodzi,
 Rzekła z gniewem, sądz o tém sam WPan Dobro-
 Mnie nic do Tadeusza, sami o nim radźcie, [dziej;
 Zróbcie go ekonomem, lub w karczynie posadźcie,
 Niech szynkuje lub z lasu niech zwierzynę znosi:
 Z nim sobie co zechcecie zróbcie; lecz do Zosi?
 Co Wać Państwu do Zosi? ja jój ręką rządzę,
 Ja sama. Że Pan Jacek dawał był pieniądze
 Na wychowanie Zosi, i że jój wyznaczył
 Małą pensyjkę roczną, więcej przyrzec raczył;
 Toć jój jeszcze nie kupił. Zresztą Państwo wiecie,
 I dotąd jeszcze o tém wiadomo na świecie,
 Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu,
 Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu.“

(Téj części mowy Sędzia słuchał z niepojętém Pomieszaniem, żałością i widocznym wstrętem; Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił I ręką potakując, mocno się zapłonił.)

Telimena kończyła: „Byłam jój piastunką,
 Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.
 Nikt oprócz mnie nie będzie myślił o jój szczęściu“—
 „A jeśli ona szczęście znajdzie w tém zamęściu?“
 Rzekł Sędzia, wzrok podnosząc; „jeśli Tadeuszka
 Podoba?“— „Czy podoba? to na wierzbie gruszka;
 Podoba, niepodoba, a to mi rzecz ważna!
 Zosia niebędzie, prawda, partya posażna,
 Ale też nie jest z lada wsi, lada szlachcianka,
 Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,
 Rodzi się z Horeszkówny; małżonka dostanie!
 Staraliśmy się tyle o jój wychowanie!
 Chybaby tu zdziczała!“—Sędzia pilnie słuchał,
 Patrząc w oczy; zdało się że się udobruchał,
 Bo rzekł dosyć wesoło: „No, to i cóż robić,
 Bóg widzi, szczerze chciałem interesu dobić;
 Tylko bez gniewu, jeśli Aśka się niezgodzi,

Aśka ma prawo; smutno—gniewać się nie godzi;
 Radziłem bo brat kazał, nikt tu nie przymusza;
 Gdy Aśka rekuzuje Pana Tadeusza,
 Odpisuję Jackowi że nie z mojej winy
 Niedojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.
 Teraz sam będę radzić; pono s Podkomorzym
 Zagaimy swatostwo i resztę ułożym.“

Przez ten czas Telimena ostygła z zapału:

„Ja nic nie rekuzuje, braciszku, pomału!
 Sam mówiłeś że jeszcze zawcześnie—zbyt młodzi—
 Rospatrzmy się, czekajmy, nic to nie zaszkodzi,
 Poznajmy s sobą Państwo młodych; będziem zważać,
 Niemożna szczęścia drugich tak na traf narażać:
 Ostrzegam tylko wcześniej, niech brat Tadeusza
 Nie namawia, kochać się w Zosi nie przymusza,
 Bo serce nie jest sługa, niezna co to pany,
 I nie da się przemocą okuwać w kajdany.“—

Zaczém Sędzia powstawszy odszedł zamysłony,
 Pan Tadeusz s przeciwnój przybliżył się strony,
 Udając że szukanie grzybów tam go zwabia;
 W tymże kierunku zwolna posuwa się Hrabia.

Hrabia podczas Sędziego sporów s Telimeną,
 Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną;
 Dożył s kieszeni papier i ołówek, sprzęty
 Które zawsze miał s sobą, i na pień wygięty
 Rospiąwszy kartkę, widać że obraz malował,
 Mówiąc sam s sobą: Jakbyś umyślnie grupował,
 Ten na głazie, ta w trawie, grupa malownicza!
 Głowy charakterowe! s kontrastem oblicza!

Podchodził, wstrzymywał się, lornetkę przecierał,
 Oczy chustą obwiewał i coraz spozierał —
 Miałożby to cudowne, śliczne widowisko
 Zginać albo zmienić się gdy podejde blisko?
 Ten aksamit traw, będzież to mak i botwinie?
 W nimfie téj czyż obaczę jaką ochmistrzynię?

Choć Hrabia Telimenę już dawniej widywał
 W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,
 Lecz mało ją uważał; zadziwił się zrazu
 Rozeznając w niej model swojego obrazu.
 Miejsca piękność, postawy wdzięk i gust ubrania,
 Zmieniły ją, zaledwo była do poznania.

W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;
 Twarz ożywiona wiatru świeżemi powiewy,
 Sporem s Sędzią i nagłym przybyciem młodzieńców,
 Nabrała mocnych, żywszych niż zwykle rumieńców.

„Pani, rzekł Hrabia, racz mój śmiałości darować,
 Przychodzę i przeproszać i razem dziękować.
 Przeproszać, że jój kroków śledziłem ukradkiem,
 I dziękować, że byłem jój dumania świadkiem;
 Tyle ją obraziłem! winienem jój tyle!
 Przerwałem chwilę dumań: winienem ci chwile
 Natchnienia! chwile błogie! potępiaj człowieka,
 Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!
 Na wielem się odważył, na więcej odważę!
 Sądź!* tu ukląkł i podał swoje peizaze.

Telimena sądziła malowania proby
 Tonem grzecznej lecz sztukę znającej osoby;
 Skąpa w pochwały, lecz nie szczędziła zachętu,
 „Brawo, rzekła, winszuję, niemało talentu.
 Tylko Pan nie zaniedbuj; szczególnież potrzeba
 Szukać pięknej natury! O szczęśliwe nieba

Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!
 Wy klassyczne Tyburu spadające wody!
 I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
 To Hrabio kraj malarzów! u nas żal się Boże.
 Dziecko muz w Soplicowie oddane na mamki
 Umrze pewnie. Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
 Albo w Album umieszczę do rysunków zbiorku,
 Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biórku.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
 Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczy-
 Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem, [tach,
 Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.
 A przecież w około nich ciągnęły się lasy
 Litewskie! tak poważne i tak pełne krasy!—
 Czeremchy oplatańe dzikich chmielów wieńcem,
 Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
 Leszczyna jak menada z zielonemi berły,
 Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
 A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
 Ożyna czarne usta tuląca do malin.
 Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,

Jak do tańca stojące panny i młodzieńce,
 Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona
 Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
 Wysmukłością kibici i barwy powabem,
 Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
 A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki
 Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
 Tam matrony topole, i mchami brodaty
 Dąb włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
 Wspiera się jak na grobów połamanych słupach,
 Na dębów, przodków swoich skamieniałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się nudząc nie pomалу
 Długą rozmową, w której nie mógł brać udziału;
 Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,
 I wyliczać s kolei wszystkich drzew rodzaje:
 Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,
 Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,
 Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,
 Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,
 Tadeusz nieprzestawał dąsać się i zżymać,
 Nakoniec niemógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia
 I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia:
 „Widziałem w botanicznym Wileńskim ogrodzie,
 Owe sławione drzewa, rosnące na wschodzie,
 I na południu, w owój pięknej Włoskiej ziemi;
 Któreż równać się może z drzewami naszymi?
 Czy aloes z długimi jak konduktor palki?
 Czy cytryna karlica z złocistemi gałki?
 Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
 Jako kobieta mała, brzydka lecz bogata?
 Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy!
 Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy;
 Mówią że bardzo smutnie wygląda na grobie,
 Jest to jak lokaj niemiec we dworskiej żałobie,
 Nieśmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,
 Aby się etykiecie niczém niesprzeciwić.

„Czyż niepiękniejsza nasza, pocziwa brzezina,
 Która jako wieśniaczka kiedy płacze syna,
 Lub wdowa męża, ręce załamie, rostoczy
 Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!
 Niema z żalu, postawą jak wymownie szłocha!

-Czemuż Pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
 Nie maluje drzew naszych pośród których siedzi?
 Prawdziwie, będą s Pana żartować sąsiedzi,
 Że mieszkając na żyznej Litewskiej równinie,
 Malujesz tylko jakieś skały i pustynie. «

„Przyjacielu, rzekł Hrabia! piękne przyrodzenie
 Jest formą, tłem, materią, a duszą natchnienie
 Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
 Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
 Niedosć jest przyrodzenia, niedosyć zapалу,
 Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
 Nie wszystko co jest piękne wymalować da się!
 Dowiesz się o tém wszystkiém s książek w swoim
 Co się tycze malarstwa: do obrazu trzeba [czasie.
 Punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba,
 Nieba włoskiego! stąd też w kunszcie peizażów,
 Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów.
 Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle,
 Ale peizażysty (bo są dwaj Brejgele)
 I oprócz Ruisdalla, na całej północy
 Gdzie był pejzażysta który pierwszój mocy?

Niebios, niebios potrzeba.“ — „Nasz malarz Orłow-
Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski. [ski,
(Trzeba wiedzieć że to jest Sopliców choroba,
Ze im oprócz Ojczyzny nie się niepodoba).
Orłowski, który życie strawił w Peterburku,
Sławny malarz, (mam jego kilka szkiców w biórku)
Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raj, u
A niewierzy Hrabia jak tęsknił po kraju,
Lubił ciągle wspominać swój młodości czasy,
Wystawiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, la-
[sy...“

„I miał rozum, zawołał Tadeusz z zapałem:
Te państwa niebo Włoskie, jak o niem słyszałem,
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów s samęj gry obłoków!
Bo każda chmura inna: naprzykład jesienna
Pełźnie jak żółw leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi.
Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,

Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
 Szum wielki słyhać w koło; nawet te codzienne,
 Patrzenie Państwo, te białe chmurki jak odmienne!
 Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
 A s tyłu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi:
 Sciskają się, grubieją, rosną, nowe dziwy!
 Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
 Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie
 Przelatują jak tabun rumaków po stepie.
 Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się—nagle
 Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
 Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
 Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!«

Hrabia i Telimena poglądali w górę;
 Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,
 A drugą ścisnął zlekka rączkę Telimeny;
 Kilka już upłynęło minut cichéj sceny;
 Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu,
 I wydobył ołówek: w tém przykry dla uszu
 Odezwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu
 Cichego, pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia kiwnąwszy głową, rzekł poważnym tonem:
 „Takto na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwo-
 Rachunki myśli wielkiej, plany wyobraźni, [nem.
 Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,
 Wylania się serc czułych! gdy spiż zdala ryknie,
 Wszystko miesza się, zrywa, mąci się i niknie!“
 Tu obróciwszy czuły wzrok ku Telimencie,
 „Cóż zostaje?“ a ona mu rzekła: „wspomnienie!“
 I chcąc Hrabiego nieco ułagodzić smutek,
 Podała mu urwany kwiatek niezabudek.
 Hrabia go ucałował i na pierś przyspilał,
 Tadeusz z drugiej strony krzak ziela roschyłał
 Widząc że się ku niemu tém zielem przewija
 Coś białego, była to rączka jak lilija;
 Pochwycił ją, całował, i usta po cichu
 Utonął w niej jak pszczoła w lilii kielichu;
 Uczuł na ustach zimno; znalazł klucz i biały
 Papier w trąbkę zwiniony, był to listek mały;
 Porwał, schował w kieszenie, niewie co klucz znaczy,
 Lecz mu to owa biała kartka wytłumaczy.
 Dzwon wciąż dzwonił, i echem z głębi cichych lasów
 Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów;

Odgłos to był szukania i nawoływania,
 Hasło zakończonego na dziś grzybo-brania;
 Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy
 Jak się Hrabiemu zdało, owszem obiadowy.
 Dzwon ten w każde południe krzyczący z poddasza,
 Gości i czeladź domu na obiad zaprasza:
 Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczaju,
 I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju
 Wychodziła gromada niosąca krobeczki,
 Koszyki, uwiązane końcami chusteczki,
 Pełne grzybów; a panny w jednym ręku niosły
 Jako wachlarz zwiniony, *borowik* rozrosły,
 W drugim związane razem, jakby polne kwiatki,
Opienki, i rozlicznój barwy *Surojadki*.
 Wojski miał *muchomara*. S próżnemi przychodzi
 Rękami *Telimena*, z nią *Panicze* młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem:
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem;
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,
 Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży;
 Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy Bernardynie.

Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,
 Podano w kolej wódkę, zaczem wszyscy siedli,
 I chołodziec litewski, milczkiem, żwawo jedli.

Obiadowano ciszej niż się zwykle zdarza,
 Nikt niegadał pomimo wezwań gospodarza.
 Strony biorące udział w wielkiej o psów zwadzie
 Myśliły o jutrzejszej walce i zakładzie;
 Myśl wielka zwykle usta do milczenia zmusza.
 Telimena mówiąca wciąż do Tadeusza,
 Musiała ku Hrabiemu nieraz się odwrócić,
 Nawet na Assessora nieraz okiem rzucić:
 Tak ptasznik patrzy w sidło kędy szczygły zwabia,
 I razem w pastkę wróblą. Tadeusz i Hrabia
 Obadwa radzi s siebie, obadwa szczęśliwi,
 Oba pełni nadziei, więc niegadaliwi.
 Hrabia na kwiatek dumne opuszczał wejrzenie,
 A Tadeusz ukradkiem spozierał w kieszenie,
 Czy ów kluczyk nieuciekł, ręką nawet chwycił
 I kręcił kartkę, której dotąd nieprzeczytał.
 Sędzia Podkomorzemu węgryzna, szampana
 Dolewał, służył pilnie, ścisnął za kolana,

Ale do rozmawiania z nim nie miał ochoty.
I widać że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania:
Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania
Gość niespodziany. Szybko wpadając gajowy,
Niezważał nawet że czas właśnie obiadowy,
Podbiegł do Pana; widać s postawy i z miny
Że ważnej i niezwykłój jest posłem nowiny.
Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,
On odetchnąwszy nieco, rzekł: Niedźwiedź Mospa-
Resztę wszyscy odgadli; że zwierz z *matecznika* [nie!
Wyszedł, że w Zaniemeńską puszcze się przemyka;
Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,
Choć ani się radzili, ani namyślali.—

Spólną myśl widać było z uciętych wyrazów,
Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,
Które wychodząc tłumnie razem z ust tak wielu,
Dążyły przecież wszystkie do jednego celu.

„Na wies! zawołał Sędzia, hej konno, setnika;
Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika,

Kto wystąpi z oszczepem, temu z robocizny
Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny.“

„Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulbaczyć siwą,
Dobiedz w cwał do mojego dworu, wziąć co żywo
Dwie pijawki, co w całej okolicy słyną,
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;
Zakneblować im pyski, zawiązać je w miechu,
I przystawić je tutaj konno dla pośpiechu.“

— „Wańka! krzyknął na chłopca Assesor porusku,
Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na brusku:
Wiesz, tasak co od Księcia miałem w podarunku,
Pas opatrzeć, czy kula jest w każdym ładunku.“

— Strzelby! krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu.
Assesor wołał ciągle: ołowiu, ołowiu!

Formę do kul mam w torbie. „Do Księdza Plebana
Dać znać, dodał Pan Sędzia, żeby jutro zrana
Mszę miał w kaplicy leśnej; króciuchna oferta
Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.

Po wydanych rozkazach nastąpiło milczenie.

Każdy dumał i rzucał do koła wejrzenie,

Jak gdyby kogoś szukał; zwolna wszystkich oczy

Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy:
 Znak to był że szukają na przyszłą wyprawę
 Wodza, i że Wojskiemu oddają buławę.

Wojski powstał, zrozumiał towarzyszków wolę,
 I uderzywszy ręką poważnie po stole,
 Pociągnął złocistego z zanadru łańcuszka,
 Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka.
 „Jutro rzekł, pół do piątój, przy leśnej kaplicy
 Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy.

Rzekł i ruszył od stołu, za nim szedł gajowy;
 Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze gdy na jutro bitwę zapowiedzą,
 Żołnierze po obozie broń czyszczą i jedzą,
 Lub na płaszczach i siodłach śpią próżni kłopotu;
 A wodze śród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień szedł na kowaniu koni,
 Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni,
 U wieczerzy zaledwo kto przysiadł do stoła;
 Nawet strona Kusego s partyą Sokoła,

Przestała dawnym wielkim zatrudniać się sporem:
 Pobrawszy się pod rękę, Rejent z Assesorem
 Wyszukują ołowiu. Reszta spracowana
 Szła spać wcześniej, ażeby przebudzić się zrana.

* Tadeuszowi dano dziś izbę w budynku.

Wszedłszy drzwi zamknął, świecę postawił w komin-
 Udając że już zasnął—lecz oczu nie zmrużył, [ku,
 Czekał on widać nocy, a czas mu się dłużył.
 Stał przy oknie i patrzył wyrzniętym otworem
 Co robi stróż chodzący ciągle pode dworem.
 Gdy go ujrział daleko: nogami równemi
 Wyskoczył, okno zamknął, tuląc się do ziemi
 Jako wyżeł skradał się; dalsze jego kroki
 Jesienna noc gęstemi osłoniła mroki. *

DIPLOMATYKA I ŁOWY

KSIĘGA CZWARTA.

DYPLOMATYKA I ŁOWY.

TREŚĆ.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza. — Zapóźne postrzeżenie omyłki. — Karczma. — Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskusye na właściwą drogę. — Matecznik. — Niedźwiedź. — Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego. — Trzy strzały. — Spór Sagala-sówki s Sanguszkówką rostrzygniony na stronę jednorurki Horreszkowskiej. — Bigos. — Wojskiego powieść o pojedynku Dowejki z Domejką, przerwana szczuciem kota. — Koniec powieści o Dowejce i Domejce.

Rowienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa
Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa!
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,
I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze
Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórze

Leżał słuchając pieśni mądrego Lizdejki,
 A Wilii widokiem i szumem Wilejki
 Ukołysany, marzył o wilku żelaznym;
 I zbudzony, za bogów rokazem wyraźnym,
 Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,
 Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.
 S tego to miasta Wilna, jak z Rzymskiej wilczycy
 Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,
 Równie myśliwi wielcy jak sławni rycerze,
 Czyli wroga ścigali, czyli dzikie zwierze.
 Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów
 Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy
 Ostatni Król co nosił kołpak Witoldowy,
 Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
 I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
 Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy
 Bym wrócił was oglądać przyjaciele starzy,
 Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
 Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dzieci e;
 Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie

Wiekami wydrążonym jakby w dobrym domu,
 Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
 Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
 I tam na Ukrainie, czy się dotąd wznosi
 Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
 Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
 Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
 Kupiecka, lub rządowa, moskiewska siekiera!
 Nie zostawia przytułku, ni leśnym śpiewakom,
 Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak pta-
 Wszak lipa Czarnolaska, nagłos Jana czuła, [kom.
 Tyle rymów natchnęła! wszak ów dąb gaduła,
 Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
 Błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy,
 Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
 Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie
 Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,
 A koło mnie srebrzył się, tu mech siwobrody,

Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
 A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,—
 Strojne w brusznicę, jakby w koralów paciórki—
 W około była ciemność; gałęzie u góry
 Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury;
 Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
 Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
 Dziwny, odurzający hałas! mnie się zdało
 Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast: tu wywrot dębu
 Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu,
 Na nim oparte jak ścian i kolumn obłamy,
 Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
 Ogrodzone parkanem traw: w środek tarasu
 Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
 Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
 Na pół zgryzione, jakichś nieostrożnych gości.
 Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie
 Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
 I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
 Jak promień kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciół na jedlinie,
 Stuka zlekka i dalej odlatuje, ginie,
 Schował się, ale dziobem nieprzestaje pukać,
 Jak dziecko gdy schowane, woła by go szukać.
 Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
 Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
 Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;
 Chociaż tak osłoniła, do koła spoziera,
 Dostrzegłszy gościa skacze gajów tanecznicą,
 Z drzew na drzewa miga się jako błyskawica;
 Nakoniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
 Jak wracająca w drzewo rodzime Driada.
 Znowu cicho.

Wtém gałąź wstrzęsła się trącona,
 I pomiędzy jarzębin rozsunione grona,
 Kraśniejsze od jarzębin zajaśniały lica,
 To jagód lub orzechów zbieraczka dziewica;
 W króbeczce s prostěj kory, podaje zebrane
 Bruśnice świeże, jako jėj usta rumiane;
 Obok młodzieniec idzie, leszczynę nagina,
 Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

Wtém usłyszeli odgłos rogów i psów granie,
 Zgadują że się ku nim zbliża polowanie,
 I pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi
 Zniknęli nagle z oczu, jako leśne bogi.

W Soplicowie ruch wielki: lecz ni psów hałasy,
 Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,
 Ni odgłos trąb dających hasło polowania,
 Nie mogły Tadeusza wyciągnąć s posłania;
 Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.
 Nikt z młodzieży nie myślił szukać go po dworze,
 Każdy sobą zajęty, śpieszył gdzie kazano:
 O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał: słońce w otwór, co sród okienicy
 Wyrznięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy
 Słupem ognistym, prosto sennemu na czoło;
 On jeszcze chciał zadrzemać i kręcił się w koło,
 Chroniąc się blasku, nagle usłyszał stuknienie,
 Przebudził się, wesole było przebudzenie.
 Czuł się rześwym jak ptaszek, z lekkością oddychał,
 Czuł się szczęśliwym, sam się do siebie uśmiechał:

Myśląc o wszystkiém co mu wczora się zdarzyło,
 Rumienił się, i wzdychał, i serce mu biło.
 Spojrzał w okno, o dziwy! w promieni przezroczu,
 W owém sercu, błyszczało dwoje jasnych oczu,
 Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie
 Kiedy z jasności dziennój przedziera się w cienie;
 Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku
 Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku,
 Palce drobne zwrócone na światło różowe,
 Czerwiniły się na wskrós jakby rubinowe;
 Usta widział ciekawe, rostulone nieco,
 I ząbki, co jak perły śród koralów świecą,
 I lica, choć od słońca zasłaniane dłonią
 Różową, same całe jak róże się płonią.

Tadeusz spał pod oknem; sam ukryty w cieniu
 Leżąc na wznak, cudnému dziwił się zjawieniu,
 I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy,
 Nie wiedział czy to jawa, czyli mu się marzy.
 Jedna stych miłych, jasnych twarzączek dziecinnych,
 Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.
 Twarzączka schyliła się—ujrzał, drżąc z bojaźni

I radości, niestety! ujrzał najwyraźniej,
 Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,
 W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,
 Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku
 Świeciły jak korona na świętych obrasku.

Zerwał się; i widzenie zaraz uleciało
 Przestraszone łoskotem; czekał, niewracało!
 Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie
 I słowa: „Niech Pan wstaje, czas na polowanie.
 Pan zaspął.“ Skoczył z łóżka i obu rękami
 Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami
 I rozwarłszy się w obie uderzyła ściany;
 Wyskoczył, patrzył w koło, zdumiony, zmieszany,
 Nic nie widział, nie dostrzegł niczyjego śladu:
 Niedaleko od okna był parkan od sadu,
 Na nim chmielowe liście i kwieciste wieńce
 Chwiały się; czy je lekkie potrąciły ręce?
 Czy wiatr ruszył? Tadeusz długo patrzył na nie,
 Nieśmiało iść w ogród: tylko wsparł się na parkanie,
 Oczy podniósł, i s palcem do ust przyciśnionym
 Kazał sam sobie milczeć, by słowem kwapioném

Nie rozerwał milczenia; potém w czoło stukał,
 Niby do wspomnień dawnych, uspiionych w niém pu-
 Nakoniec gryząc palce do krwi się zadrasnął, [kał,
 I na cały głos—dobrze, dobrze mi tak!—wrzasnął.

We dworze, gdzie przed chwilą tyle było krzyku,
 Teraz pusto i głucho, jak na mogilniku:

Wszyscy ruszyli w pole; Tadeusz nadstawił
 Uszu, i ręce do nich jak trąbki przyprawił,
 Słuchał, aż mu wiatr przyniósł wiejący od puszczy,
 Odgłosy trąb i wrzaski polującej tłuszczy.

Koń Tadeusza czekał w stajni osiodłany,
 Wziął więc flintę, skoczył nań, i jak opętany
 Pędził ku karczmom, które stały przy kaplicy,
 Kędy mieli się rankiem zebrać obławnicy.

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach
 Oknami wzajem sobie grożące jak wrogie; [drogi,
 Stara należy s prawa do zamku dziedzica,
 Nową na złość zamkowi postawił Soplica.
 W tamtój, jak w swém dziedzictwie, rej wodził Ger-
 [wazy,
 W tej najwyższe za stołem brał miejsce Protazy.

Dach z dranie i ze słomy, śpiczasty, zadarty,
 Pogięty jako kołpak żydowski podarty.
 Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,
 Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie;
 Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,
 Trwale, chociaż w pół zgniłe, i stawione krzywo
 Jako w wieży Pizańskiej, nie podług modeliów
 Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.
 Nad kolumnami biegą wpółokrągłe łuki,
 Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.
 Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłótem,
 Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane skłutem,
 Krzywe jak szabasowych ramiona świeczników;
 Na końcu wiszą gałki, coś nakształt guzików,
 Które żydzi modląc się na łbach zawieszają,
 I które po swojemu, cyces nazywają.
 Słowem zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,
 Podobna jest do żyda, gdy się modląc kiwa;
 Dach jak czapka, jak broda strzecha roztrzęsniona,
 Ściany dymne i brudne jak czarna opona,
 A s przodu rzeźba sterczy jak cyces na czole.

W środku karczmy jest podział jak w żydowskiej
 [szkole,

Jedna część pełna izbic ciasnych i podłużnych;
 Służy dla dam wyłącznie i panów podróżnych;
 W drugiej ogromna sala. Koło każdej ściany
 Ciągnie się wielonożny stół wąski drewniany,
 Przy nim stołki, choć niższe, podobne do stoła,
 Jako dzieci do ojca.

Na stołkach do koła

Siedziały chłopcy, dziewczynki, tudzież szlachta drobna,
 Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.
 Po ranniej mszy s kaplicy, że była niedziela,
 Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.
 Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,
 Po nad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.
 W środku arędarz Jankiel, w długim aż do ziemi
 Szarafanie, zapiętym haftkami srebrnemi,
 Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,
 Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził;
 Rzucając w koło okiem rozkazy wydawał,
 Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał
 Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,
 Lecz nie służył nikomu; tylko się przechadzał.

Żyd stary i powszechnie znany s poczeiwości,
 Od lat wielu dzierzawił karczmę, a nikt z włości
 Nikt ze szlachty nie zaniósł nań skargi do dworu;
 O cóż skarżyć? miał trunki dobre do wyboru,
 Rachował się ostrożnie, lecz bez oszukaństwa,
 Ochoty nie zabraniał, nie cierpiał pijaństwa;
 Zabaw wielki miłośnik; u niego wesele
 I chrzciny obchodzono; on w każdą niedzielę
 Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce,
 Przy której i basetla była i kozice.

Muzykę znał, sam sływał muzycznym talentem;
 S cymbałami, narodu swego instrumentem,
 Chadzał niegdys po dworach i graniem zdumiewał
 I pieśniami, bo biegle i uczenie spiewał.
 Chociaż żyd, dosyć czystą miał polską wymowę,
 Szczególniej zaś polubił pieśni narodowe;
 Przywoził mnóstwo s każdój za Niemen wyprawy,
 Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy;
 Wieść, nie wiem czyli pewna, w całej okolicy
 Głosiła, że on pierwszy przywiózł z zagranicy,
 I upowszechnił wówczas, w tamecznym powiecie,

Gerwazego nie było; ruszył na obławę,
 Nie chcąc aby tak ważną i trudną wyprawę
 Odbył sam Hrabia, młody i niedoświadczony;
 Poszedł więc z nim dla rady, tudzież dla obrony.

Dziś miejsce Gerwazego, najdalsze od progu,
 Między dwiema ławami, w samym karczmy rogu,
 Zwane *pokuciem*, kwestarz ksiądz Robak zajmował;
 Jankiel go tam posadził; widać że szanował
 Wysoko Bernardyna, bo skoro dostrzegł
 Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał
 I rozkazał dolewać lipcowego miodu.

Słysząc, że z Bernardynem znali się za młodu,
 Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał
 Nocą do karczmy, tajnie z żydem się naradzał
 O ważnych rzeczach; słysząc było że towary,
 Ksiądz przemyślał, lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak wsparty na stole, wpółgłówno rosprowiał,
 Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,
 I nosy ku księdzowskiej chylił tabakierze;
 Brano z niej i kichała szlachta jak moździerze.

„Reverendissime, rzekł kichnąwszy Skołuba,
 To mi tabaka, co to idzie aż do czuba;
 Od czasu jak nos dźwigam (tu głasnął nos długi)
 Takięj nie zażywałem (tu kichnął raz drugi);
 Prawdziwa Bernardynka, pewnie s Kowna rodem,
 Miasta sławnego w świecie tabaką i miodem.
 Byłem tam lat już — Robak przerwał mu „na zdrowie
 Wszystkim Waszmościom, moi Mościwi Panowie;
 Co się tabaki tyczy, hem, ona pochodzi
 Z dalszėj strony niż myśli Skołuba Dobrodzięj;
 Pochodzi z Jasnej Góry; Xięża Paulinowie
 Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,
 Kędy jest obraz tyłu cudami wsławiony,
 Bogarodzicy Panny, Królowej Korony
 Polskiej; zowią ją dotąd i Księżną Litewską!
 Koronęć jeszcze dotąd piastuje królewską,
 Lecz na Litewskim Księstwie teraz szyma siedzi!“
 „S Częstochowy? rzekł Wilbik, byłem tam w spo-
 [wiedzi,
 Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście;
 Czy to prawda, że Francuz gości teraz w mieście,
 Że chce kościół rozwałać, i skarbiec zabierze,
 Bo to wszystko w Litewskim stoi Kurierze?“

„Nieprawda, rzekł Bernardyn, nie; Pan Najjaśniejszy
Napoleon, katolik jest najprzykładniejszy;

Wszak go papież namaścił, żyją z sobą w zgodzie
I nawracają ludzi w francuskim narodzie,

Który się trochę popsuł; prawda s Częstochowy
Oddano wiele srebra na skarb narodowy

Dla Ojczyzny, dla Polski; sam Pan Bóg tak każe,
Skarbcem Ojczyzny zawsze są jego ołtarze;

Wszakże w Warszawskiem Księstwie mamy sto
[tysięcy

Wojska Polskiego, może wkrótce będzie więcej;

A któż wojsko opłaci? czy nie wy Litwini?“

—„Oj Dobrodzieju, chłopek ozwał się s pokorą,
Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę:

Już to szlachcie, to jeszcze bieda przez połowę,

Lecz nas drą jak na łyka!“ — „Cham! Skołuba krzy-

Głupi, tobieć to lepiej, tyś chłopie przywyknał, [knął,

Jak węgórz do odarcia; lecz nam *urodzonym*,

Nam wielmożnym, do złotych swobód wzwycza-
[jonym!

Ach bracia! wszak to dawniej szlachcie na zagrodzie!

—(Tak, tak, krzyknęli wszyscy: równy wojewodzie!)

Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować

Papiery, i szlachectwa papierem probować.“

—»Jeszcze Waszeci mniejsza, zawołał Juraha,
Waszeć s pradziadów chłopów uszlachcony szlaha;
Ale ja, s kniaziów! pytać u mnie o patenta,
Kiedym został szlachcicem? sam Bóg to pamięta!“

—»Kniaziu, rzekł Żagiel, świeć Waść baki lada ko-
Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu.“ [mu,

—»Waść ma krzyż w herbie, wołał Podhajski, to
Alluzya, że w rodzie bywał neofita.“ [skryta

—»Fałsz, przerwał Birbarz, przecież ja s tatars-
[kich hrabiów

Pochodzę, a mam krzyże nad herbem Korabiów.“

—»Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu zło-
Herb książęcy, Strykowski gęsto pisze o tém.“ [tém

Za czém wielkie powstały w całej karczmie szmery;

Ksiądz Bernardyn uciekł się do swój tabakiery,

W kolój częstował mówców, gwar zaraz ucichnął,

Każdy zażył przez grzeczność i kilkakroć kichnął;

Bernardyn korzystając s przerwy, mówił dalej:

—»Oj wielcy ludzie od téj tabaki kichali!

Czy uwierzycie Państwo, że s téj tabakiery,

Pan Jenerał Dąbrowski zażył razy cztery?“

—Dąbrowski? zawołali—, Tak, tak, on Jenerał;
 Byłem w obozie gdy on Gdańsk Niemcom odbierał;
 Miał coś pisać, bojąc się ażeby nie zasnął,
 Zażył, kichnął, dwakroć mię po ramieniu klasnął:
 Księżę Robaku, mówił, Księżę Bernardynie,
 Obaczmy się w Litwie może nim rok minie;
 Powiedz Litwinom niech mnie czekają s tabaką
 Częstochowską, niebiorę innęj tylko taką.“

Mowa Księdza wzbudziła takie zadziwienie,
 Taką radość, że całe huczne zgromadzenie,
 Milezało chwilę: potém napół ciche słowa
 Powtarzano: tabaka s Polski? Częstochowa?
 Dąbrowski? z ziemi włoskiéj? aż nakoniec razem,
 Jakby myśl z myślą, wyraz sam zbiegł się z wyrazem,
 Wszyscy jednogłośnie jak na dane hasło
 Krzyknęli: Dąbrowskiego! wszystko razem wrzasło,
 Wszystko się uścisnęło: chłop s tatarskim hrabią,
 Mitra s Krzyżem, Poraje z Gryfem i s Korabią;
 Zapomnieli wszystkiego, nawet Bernardyna,
 Tylko śpiewali krzycząc: wódki, miodu, wina!
 Długo się przysłuchiwał Ksiądz Robak piosence,

Nakoniec chciał ją przerwać; wziął w obiedwie ręce
Tabakierkę, kichaniem melodyę zmieszał,

I nim się nastroili, tak mówić pośpieszał:

„Chwalicie mą tabakę Mości Dobrodzieje,
Obaczcież co się wewnątrz tabakierki dzieje.“

Tu wycierając chustką zabrudzone denko,

Pokazał malowaną armią maleńką

Jak roj much; w środku jeden człowiek na rumaku,

Wielki jako chrząszcz siedział, pewnie wódz orszaku;

Spinał konia jak gdyby chciał skakać w niebiosa,

Jedną rękę na cuglach, drugą miał u nosa:

—Przypatrzcie się, rzekł Robak, téj groźnej posta-
Zgadnijcie czyja?—Wszyscy patrzyli ciekawie. [wie,

—„Wielki człowiek, zawołał Cydzik, a w kapocie?

Ja myślałem że wielcy ludzie chodzą w złocie.

—„Ba, przerwał Rymsza; przecież widziałem za
Kościuszkę, naczelnika naszego narodu: [młodu

Wielki człowiek! a chodził w krakowskiéj sukmanie,

To jest czamarce.“—„W jakiej czamarce, Mospanie?

Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką.“

—„Ale tamta s fręzlami, ta jest całkiem gładką,

Krzyknął Mickiewicz.“—Za tém wszczynały się

O różnych taratunki kształtach i czamary. [swary

Przemysłny Robak widząc, że się tak rospryska
 Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska,
 Do swojej tabakiery; częstował, kichali,
 Życzyli sobie zdrowia, on rzecz ciągnął dalej:
 — „Gdy Cesarz Napoleon w potyczce zażywa
 Raz po raz, to znak pewny że bitwę wygrywa.

— „Ach! zawołał Skołuba, mój księżę kwestarzu!
 Kiedyż to będzie! wszak to ile w kalendarzu
 Jest świąt, na każde święto Francuzów nam wróżą;
 Wygląda człek, wygląda, aż się oczy mrużą,
 A Moskal jak nas trzymał, tak trzyma za szyję.
 Pono nim słońce wnidzie, rosa oczy wyje.“

— „Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narze-
 A żydowska rzecz ręce założywszy czekać [kać,
 Nim kto w karcznię zajedzie i do drzwi zapuka;
 Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.
 Już ci on Szwabom skórę trzy razy wymłócił,
 Brzydkie Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił
 Het za morze, Moskałom zapewne wygodzi;
 Ale co stąd wyniknie, wie Asan Dobrodziej?

Oto Szlachta Litewska wtenczas na koń wsiedzie
 I szable weźmie, kiedy bić się s kim nie będzie;
 Napoleon sam wszystkich pobiwszy, nareszcie
 Powie: obejdę się ja bez was, kto jesteście?
 Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,
 Trzeba czeladkę zebrać i stoly pownosić,
 A przed ucztą potrzeba dom oczyścić s śmieci;
 Oczyścić dom, powtarzam, oczyścić dom, dzieci!«
 Nastąpiło milczenie, potém głosy w tłumie:
 Jakże to dom oczyścić, jak to ksiądz rozumie?
 Już ci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi,
 Tylko niech Ksiądz Dobrodziej jaśniej się wysłowi.

Ksiądz poglądał za okno, przerwawszy rozmowę,
 Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,
 Po chwili rzekł powstając: „Dziś czasu nie mamy,
 Potém o tém obszerniej s sobą pogadamy;
 Jutro będę dla sprawy w powiatowém mieście
 I do Waszmościów z drogi zajadę po kweście.“

„Niechżeż do Niehrymowa Ksiądz na nocleg zdąży,
 Rzekł Ekonom, rad będzie Księdzu Pan Chorąży;

Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie:
 Szczęśliwy człowiek jako kwestarz w Niehrymowie!
 „I do nas rzekł Zubkowski; wstąp jeżeli łaska,
 Znajdzie się tam półsztuczek płótna, masła faska,
 Baran lub krówka, wspomnij Księżu na te słowa:
 Szczęśliwy człowiek, trafił, jak ksiądz do Zubkowa.“
 I do nas rzekł Skołuba, do nas Terajewicz,
 Żaden Bernardyn głodny nie wyszedł s Pucewicz.“
 Tak cała szlachta prośbą i obietnicami
 Przeprowadzała Księdza; on już był za drzwiami.

On już pierwój przez okno ujrzał Tadeusza
 Który leciał gościńcem, wewał bez kapelusza,
 Z głową schyloną, bladém, posępném obliczem,
 A konia ustawicznie bodł i kropił biczem.
 Ten widok bardzo Księdza Bernardyna zmieszał,
 Więc za młodzieńcem kroki szybkimi pośpieszał
 Do wielkiej puszczy, która jako oko sięga
 Czerniła się na całym brzegu widnokręga.

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy
 Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
 Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;

Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
 Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,
 Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice.
 Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.
 Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
 Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,
 Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
 I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
 Gniazdami os, szerszeniów, kłębamii węzowisk.
 Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem mężstwem,
 Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeń-
 Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły, [stwem;
 Małe jeziora, trawą zarosłe na poły,
 Tak głębokie że ludzie dna ich niedosledzą;
 (Wielkie jest podobieństwo że diabły tam siedzą)
 Woda tych studni skłni się, plamista rdzą krwawą,
 A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,
 Od której drzewa w koło tracą liść i korę;
 Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
 Pochyliwszy konary mchem kołtunowate,
 I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,
 Siedzą w około wody, jak czarownic kupa
 Grzejąca się nad kotłem w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nietylko krokiem,
 Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;
 Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
 Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
 A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)
 Ciągnie się bardzo piękna, żyźna okolica,
 Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
 W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
 S których się rozrastają na świat ich plemiona.
 W niej jak w arce Noego, s wszelkich zwierząt rodu
 Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
 W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory,
 Dawny Tur, Żubr, i Niedźwiedź, puszczeni imperatory.
 Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry,
 I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministery;
 Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wassale,
 Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale.
 Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
 Żyjący s pańskich stołów, dworscy zauszniczy.
 Te pary zwierząt, główne i patryarchalne,
 Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,
 Dzieci swe słą dla osad za granicę lasu,
 A sami we stolicy używają wczasu;

Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
 Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
 Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,
 Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.
 Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżuwa,
 Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,
 Zajac sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
 Kruk gdy już posiwieje, sokół gdy oslepnie,
 Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi
 Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
 Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz raniony
 Lub chory, bieży umrzeć w swe ojezyste strony.
 Stądto w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości
 Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
 Słychać że tam w stolicy, między zwierzętami
 Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
 Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
 Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
 Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.
 Jak ojce żyły w raj, tak dziś żyją wnuki,
 Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,
 Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.
 Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny

Toby środkiem bestyj przechodził spokojny;
 Oneby nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
 Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia,
 Ojce ich pierwsze co się w ogrójcu gnieździły,
 Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
 Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
 Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu pr zystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,
 Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
 Wnętrznój ich okropności rażone widokiem,
 Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem;
 I długo potém ręką pana już głaskane,
 Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
 Te puszczy stołeczne, ludziom nieznane tajniki,
 W języku swoim strzelcy zowią: *Mateczniki*.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w mateczniku siedział,
 Nigdyby się o tobie Wojski nie dowiedział;
 Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,
 Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność;

Wyszedłeś na brzeg puszczy, gdzie się las przerze-
 I tam zaraz leśniczy bytność twą wyszedził, [dził,
 I zaraz obsaczniki, chytre nasłał szpiegi,
 By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi;
 Teraz Wojski z obławą, już od matecznika
 Postawiwszy szeregi, odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu
 Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.

Cicho;—próżno myśliwi natężają ucha,
 Próżno, jak najciekawszej mowy każdy słucha
 Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka:
 Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.
 Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,
 A strzelecy obróciwszy do lasu dwórurki,
 Patrzą Wojskiego; ukląkł, ziemię uchem pyta:
 Jako w twarzy lekarza wzrok przyjaciół czyta
 Wyrok życia lub zgonu miłej im osoby,
 Tak strzelecy, ufni w sztuki Wojskiego sposoby,
 Topili w nim spójrzzenia nadziei i trwogi.
 „Jest! jest!“ wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.

On słyszał! oni jeszcze słuchali—nareszcie,
 Słyszą, jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,
 Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają
 Doławiają się, wrzeszczą, wpadli na trop, grają,
 Ujadają: już nie jest to powolne granie
 Psów goniących zająca, lisa albo łanie;
 Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;
 To nie na ślad daleki ogary napadły,
 Na oko gonią—nagle ustał krzyk pogoni,
 Doszli zwierza; wrzask znowu, skowyt; zwierz się
 I zapewne kaleczy; wśród ogarów grania [broni
 Słysząc coraz to częściej jęk psiego konania.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową
 Wygiął się jak łuk naprzód wściśnioną w las głową;
 Nie mogą dłużej czekać! już ze stanowiska
 Jeden za drugim zmyka i w puszcę się wciska,
 Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrze-
 Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał, [gał,
 Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,
 Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem.
 Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu

I przedniemi łapami to drzewa korzenie,
 To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
 Rwał, waląc w psów i w ludzi, aż wyłamał drzewo
 Kręcąc nim jak maczugą na prawo, na lewo;
 Runął wprost na ostatnich strażników obławy,
 Hrabie i Tadeusza: oni bez obawy
 Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
 Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;
 Aż oba jednym razem pociągnęli kurki,
 (Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwórurki.
 Chybili; niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony
 Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
 Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu s pyska
 Wielkiego, czerwonego, dwa rzędy kłów błyska,
 I łapa s pazurami już się na łby spuszcza;
 Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza
 Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury
 Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry
 I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
 Zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy,
 Gdy Assesor z Rejentem wyskoczyli z boków,
 A Gerwazy biegł s przodu o jakie sto kroków,
 Z nim Robak, choć bez strzelby—i trzej w jednej
 [chwili

Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.

Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed char-
I głową na dół runął, i czterma łapami [tami,
Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemie
Walać tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsia-
Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły. [dły

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swoj róg bawoli, długi, centkowany, kręty,
Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzu-
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha, [cha
I zagrał: róg jak wichur, wirowatym dechem,
Niesie w puszcę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelce, stali szczerwaczem zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach sływał,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nią puścił i rozpoczął łowy.

Bo w graniu była łowów historya krótka:
 Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;
 Potém jęki po jękach skomlą: to psów granie;
 A gdzie nigdzie ton twardszy jak grzmot: to strze-
 [lanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawa-
 że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało. [Ło

Zadał znowu, myśliłbyś że róg kształty zmieniał,
 I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,
 Udając głosy zwierząt; to raz w wilczą szyję,
 Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje,
 Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,
 Ryknął; potém beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zda-
 że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało. [wało
 Wysłuchawszy rogowój arcydzieło sztuki,
 Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,

Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu,
 [trwogi,
 Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
 Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zda-
 że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało. [wało
 Ile drzew tyle rogów znalazło się w boru,
 Jedne drugim pieśń niosą jak s chóru do chóru.
 I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
 Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
 Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu
 Roskrzyżował, róg opadł, na pasie rzemiennym
 Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiąłem, pro-
 [mienném,
 Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
 Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.
 A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,
 Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszono się zwolna, i oczy gawiedzi
 Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi:
 Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,
 Piersiami w gęszczę trawy wplątany i wbity,
 Rosprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,
 Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,
 Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;
 Pjawki Podkomorzego dierzżą go pod uszy,
 Z lewój strony Strapczyna, a s prawój zawisał
 Sprawnik i dusząc gardziel krew czarną wysysał.

Zaczem Wojski rozkazał kij żelazny włożyć
 Psom między zęby, i tak paszczęki rostworzyć.
 Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,
 I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.

— „A co? krzyknął Assesor, kręcąc strzelby rurą,
 A co? fuzyjka moja? górą nosi górą!
 A co? fuzyjka moja? nie wielka ptaszyna,
 A jak się popisała? to jój nie nowina:
 Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku!
 Od Książęcia Sanguszki mam ją w podarunku.

Tu pokazywał strzelbę przedziwnęj roboty,
Choć małeńką, i zaczął wyliczać jéj cnoty.

—»Ja biegłem, przerwał Rejent otarłszy pot s czoła,
Biegłem tuż za niedźwiedziem; a Pan Wojski woła
Stój na miejscu; jak tam stać, niedźwiedź w pole
Rrwąc s kopyta jak zając coraz daléj, daléj, [wali,
Aż mi ducha niestało, dobiedz ni nadziei,
Aż spojrzę w prawo, s adzi, a tu rzadko w kniei,
Jak też wziąłem na oko, postójże marucha,
Pomyśliłem, i basta, ot leży bez ducha.
Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,
Napis Sagalas London à Bałabanówka.
(Sławny tam mieszkał slusarz polak, który robił
Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił.)«

—»Jak to, parsknął Assesor, do kroćset niedźwiedzi!
To to niby Pan zabił? co też to Pan bredzi?«

—»Słuchajno, odparł Rejent, tu Panie nie śledztwo,
Tu obława, tu wszystkich weźmiem na świadectwo.«

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta,
Ci stronę Assesora, ci brali Rejenta;

O Gerwazym niewspomniał nikt, bo wszyscy biegli
 Z boków, i co się s przodu działo nie postrzegli.
 Wojski głos zabrał: teraz jest przynajmniej za co,
 Bo to Panowie nie jest ów szarak ladaco,
 To niedźwiedź, to już nie żal poszukać odwetu,
 Czy szarparentyną, czyli nawet s pistoletu;
 Spór wasz trudno pogodzić, więc dawnym zwycza-
 Na pojedynek nasze pozwolenie dajem. [jem
 Pamiętam za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,
 Oba ludzie uczciwi, szlachta s prapradziadów,
 Mieszkali po dwóch stronach nad rzeką Wilejką,
 Jeden zwał się Domeyko a drugi Doweiko.
 Do niedźwiedziy oba razem wystrzelili,
 Kto zabił trudno dociec, strasznie się kłócili,
 I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:
 To mi to po szlachecku, prawie rura w rurę.
 Pojedynek ten wiele narobił hałasu;
 Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.
 Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,
 Opowiem od początku historyę całą.“—

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził;
 On niedźwiedzia z uwagą do koła obchodził,

Nareszcie dobył tasak, rościął pysk na dwoje,
 I w tylcu głowy, mózgu roskroiwszy słoje,
 Znalazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,
 Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył;
 A potém dłoń podnosząc i kulę na dłoni:
 „Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszój broni,
 Ona s tój Horeszkowskiej wyszła jednorurki,
 (Tu podniósł flintę starą, obwiązaną w sznurki.)
 Lecz nie ja wystrzeliłem. O trzeba tam było
 Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!
 Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,
 A niedźwiedz s tyłu już, już, na Hrabiego głowie,
 Ostatniego z Horeszków! chociaż po kądzieli.
 Jezus Marya, krzyknąłem; i Pańscy anieli
 Zesłali mi na pomoc Księdza Bernardyna.
 On nas wszystkich zawstydził; oj dzielny księżyna!
 Gdym drżał, gdym się do cyngla dotknąć nieośmie-
 On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił: [lił,
 Między dwie głowy strzelić! sto kroków! niechybić
 I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!
 Panowie! długo żyję, jednego widziałem
 Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.
 Ów głośny niegdyś u nas s tyłu pojedynków,

Ów co korki kobiétom wystrzelał s patynków,
 Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,
 Ów Jacek, vulgo Wąsal; nazwiska niewspomnę:
 Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;
 Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.
 Chwała Księdzu! dwom ludziom on życie ocalił,
 Może i trzem, Gerwazy nie będzie się chwalił,
 Ale gdyby ostatnie s krwi Horeszków dziecie
 Wpadło w bestyi paszczę, niebyłbym na świecie,
 I moje by tam stare pogryzł niedźwiedź kości;
 Pójdź Księżu, wypijemy zdrowie Jegomości. —

Próżno szukano Księdza; wiedzą tylko tyle,
 Że po zabiciu zwierza, zjawił się na chwilę,
 Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,
 A widząc że obadwa cali są i zdrowi,
 Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,
 I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem na Wojskiego rozkaz, pęki wrzосу,
 Suche chrósty i pniaki rzucono do stosu;
 Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,

I rosszerza się w górze nakształt baldakimu.
 Nad płomieniem oszczepy złożono w koziołki,
 Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;
 Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczone,
 I chléb.

Sędzia otworzył puzderko zamczyste,
 W którym rzędami flaszek białe sterczą głowy;
 Wybiera z nich największy kufel kryształowy,
 (Dostał go Sędzia w darze od Księdza Robaka)
 Wódka to Gdańska, napój miły dla Polaka.
 Niech żyje! krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszę,
 Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!
 I lał srebrzysty likwor w kolój, aż na końcu
 Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano—w słowach wydać tru-
 Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną; [dno
 Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,
 Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
 Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
 Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada
 Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
 Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
 Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;
 Zamknięta w kotle, łonem wilgotném okrywa
 Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
 I praży się, aż ogień wszystkie z niój wycisnie
 Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,
 I powietrze do koła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy s trzykrotnym wiwatem,
 Zbrojni łyżkami biegą i bodą naczynie,
 Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie
 Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,
 Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już do woli napili, najedli,
 Zwierza na wóz złożyli, sami na koń siedli,
 Radzi wszyscy, rozmówni, oprócz Assesora
 I Rejenta, ci byli gniewliwsi niż wczora,
 Kłóćąc się o zalety, ten swój Sanguszkówki,
 A ten bałabanowskiej swój Sagalasówki.

Hrabia też i Tadeusz jadą nieweseli,
 Wstydząc się że chybili i że się cofnęli:
 Bo na Litwie kto zwierza wypuści z obławy,
 Długo musi pracować nim poprawi sławy.

Hrabia mówił że pierwszy do oszczepu godził,
 I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;
 Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy
 I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,
 Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy
 Przymawiali śród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał po środku; staruszek szanowny,
 Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny;
 Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,
 Kończył im o Dowejce i Domejce powieść:
 „ * A co się onych tycze, Dowejka z Domejką
 Mieli dwory w sąsiedztwie nad rzeką Wilejką,
 Bywali u mnie często chociaż ja daleko
 Od nich miałem mój folwark tuż nad Uszą rzeką. * „
 Assesorze, jeżeli chciałem byś z Rejentem
 Pojedynkował, nie myśl że jestem zawziętym

Na krew ludzką; broń Boże, chciałem was zabawić,
 Chciałem wam komedię niby to wyprawić,
 Wznović concept, który ja, lat temu czterdzieście,
 Wymyśliłem—przedziwny!—Wy młodzi jesteście,
 Nie pamiętacie o nim; lecz za moich czasów,
 Głośny był od téj puszczy, do poleskich lasów.

Domejki i Dowejki wszystkie sprzeciwieństwa
 Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
 Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas sejmików,
 Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
 Szepnął ktoś do szlacheica, daj kreskę Dowejce,
 A ten niedosłyszawszy dał kreskę Domejce.
 Gdy na uczcie wniósł zdrowie Marszałek Rupejko
 Wiwat Dowejko, drudzy krzyknęli Domejko;
 A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
 Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

Gorzéj było; raz w Wilnie jakiś szlacheic pijany,
 Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany,
 Potém ów szlacheic z Wilna wracając do domu,
 Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu;

Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
 Pyta sąsiada kto on, odpowie: Dowejko;
 Nie czekając dobywa rapier s pod kirejki,
 Czach, czach, i za Domejkę podciął wąż Dowejki.
 Wreszcie jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
 Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
 Że stali blisko siebie oba imiennicy,
 I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
 Prawda że po ich strzale upadła bez ducha,
 Ale już pierwój niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
 Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób,
 Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże! jaki sposób?

Tu już krzyknęli: dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
 Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć:
 Dwóch nas jak dwóch słońc pono zanadto na świecie,
 A więc do szerpentynek i stają na mecie.
 Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
 To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.
 Zmienili broń; od szabel szło na pistolety;
 Stają, krzyczym że nadto przybliżyli mety;
 Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę
 Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę,

Oba tego strzelali.—Sekunduj Hreczecha;
 Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
 Bo taki spór nie może skończyć się na niczém,
 Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym.
 Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy,
 Chcecie strzelać się rury oparłszy na brzuchy?
 Ja nie pozwolę: zgoda że na pistolety;
 Lecz strzelać się nie z dalszój, ani z bliższój mety,
 Jak przez skórę niedźwiedzią; ja rękami memi
 Jako sekundant skórę rościągnę na ziemi,
 I ja sam was ustawię. Waśc po jednéj stronie
 Stanie na końcu pyska, a Waśc na ogonie.
 Zgoda! wrzasli: czas? — jutro — miejsce? Karczma
 Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza.“— [Usza.

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: Wyczha! tuż s pod
 Smyknął szarak; już Kusy, już go Sokoł goni. [koni
 Psy wzięto na obławę, wiedząc że s powrotem
 Na polu łatwo można napotkać się s kotem;
 Bez smyczy szły przy koniach; gdy kota spostrzegły,
 Wprzód nim strzeley poszczuli już za nim pobiegły.
 Rejent też i Assesor chcieli końmi natrzeć,

Lecz Wojski wstrzymał krzyząc: wara! stać i pa-
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca niedozwolę, [trzeć,
 Stąd widzimy wszyscy dobrze, zając idzie w pole.
 W istocie, kot czuł s tyłu myśliwych i psiarnie,
 Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,
 Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,
 Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,
 Rzekłbyś że ich nie rusza, tylko ziemię trąca
 Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.
 Pył za nim, psy za pyłem, zdaleka się zdało,
 Że zając, psy i charty jedno tworzą ciało:
 Jakby jakaś przez pole suwała się żmija,
 Kot jak głowa, pył s tyłu jakby modra szyja,
 A psami jak podwójnym ogonem wywija.

Rejent, Assesor patrzą, otworzyli usta,
 Dech wstrzymali; wtém Rejent pobladnął jak chusta,
 Zbladł i Assesor, widzą... fatalnie się dzieje,
 Owa żmija im dalej, tém bardziej dłużeje,
 Już rwie się wpół, już znikła owa szyja pyłu,
 Głowa już blisko lasu, ogony, gdzie s tyłu!
 Głowa niknie; raz jeszcze jakby kto kutasem
 Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.

Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;
 Wreście wracają, zwolna skacząc przez zagony,
 Spuściły uszy, tulą do brzucha ogony,
 I przybiegłszy, ze wstydu nieśmieją wzniesć oczu,
 I zamiast iść do panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasępione czoło,
 Assesor rzucał okiem ale niewesoło,
 Potém zaczęli oba słuchaczom wywodzić:
 Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,
 Jak kot z nienacka wypadł, jak źle był poszczuty
 Na roli, gdzie psom chyba trzebaby wdziać buty,
 Tak pełno wszędzie głazów i ostrych kamieni.

Mądrze rzecz wyłuszczałi, szeszawcze doświadcze-
 Mysliwi s tych mów wiele mogliby korzystać, [ni;
 Lecz nie słuchali pilnie; ci zaczęli świstać,
 Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci
 Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.

Wojski ledwie raz okiem za zajęcem rzucił,
 Widząc że uciekł, głowę obojętnie zwrócił

I kończył rzecz przerwana: „Na czém więc staną-
 A ha! na tém, że obu za słowo ująłem [łem?
 Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę.

Szlachta w krzyk, to śmierć pewna! prawie rura
 [w rurę;

A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,
 Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą.

Wszak wiecie Waćpanowie jak królowa Dydo
 Przyплыnęła do Libów i tam z wielką biedą

Wytargowała sobie taki ziemi kawał,

Któryby się wołową skórą nakryć dawał;

Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!

Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką

Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.

Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,

Pas ze skóry niedźwiedziej porzniętej na szmaty.

Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie

Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie.

Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,

Lecz póty was niespuszczę aż się pogodzicie.

Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja s Księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewanielji, s statutów dowodzić,
Nie ma rady:—śmieli się i musieli zgodzić.

Spór ich potém w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Dowejko się s siostrą Domejki ozenił,
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu gdzie się zdarzyłtak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek.“

PRZYPISY DO KSIĘGI CZWARTÉJ.

Opisu puszczy litewskiej — oprócz podanego w texcie — pozostawił Mickiewicz dwie odmienne zmiany. Obie podamy w całości, wedle rękopisu autora.

I.

„Lecz *tajne* mu ich wewnętrzne serca tajemnice.“
Bo dalej niżli bory i podszyte knieje
Są miejsca — bajka tylko wie co się w nich dzieje:
Miejsca nigdy człowieka niezgwałcone krokiem,
Jak zakłète, okryte tumanów obłokiem,
Który wiecznie z trzęskiego dmą oparzeliska,
Poplątane zielsk sieci, żmii legowiska.

Tu i owdzie jeziora jako wilcze doły,
Zdradnie ukryte, zieleń zarosłe na poły,
A głębokie tak, że ich dna nikt niedośledzi,
W tych to jeziorach mówią wszyscy, że bies siedzi.
Woda ich brzydka, lśni się jak skorupą rdzawą
I ciągle naksztakt dymu zionie woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę,
Złysiałe, karłowate, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate,
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą około wody jak czarownice kupa
Koło czarnego kotła, w którym warzą trupa.
Daléj zaś niedostępne, niezbadane okiem,
Leżą jary nakryte tumanów obłokiem,
Który wiecznie ze trzęskich oparzelisk bucha.

Za temi tumanami, jak wieść niesie głucha,
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
I tam jest zwierzęcego królestwa stolica.
Tam są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona
Z których się rozrastają na świat ich plemiona.
Tam jak w Arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu,

Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
 Te pary królujące i patryarchalne,
 W jądrze puszczy ukryte, ludziom (światu) niewi-
 [dzialne,
 Rodzą się, umierają, bezpieczne siedliskiem,
 Żaden z nich nigdy ludzkim nie zginął pociskiem.
 W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory
 Żubr ogromny i niedźwiedź, puszczy imperatory:
 Około nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
 I żarłoczny rosomak, jak czujne ministery;
 Dalej zaś jak podwładne potężne wasale
 Mieszkają dziki, wilki, i łosie rogale.
 Nad głowami sokoły i orłowie dzicy
 Żyjący z łaski państwa, dworscy zauszniczy;
 Wszystkie zaś tam zwierzęta żyją w dawniej zgodzie,
 Nigdy jeden drugiego nie kąsa—nie bodzie.
 Tylko zwierz, który z gniazda na świat się zacieka
 Uczy się obyczajów wojny od człowieka.

W tejsze stolicy słychać, że lasów mocarze
 Mają swe niezbadane od ludzi cmentarze,
 Bo wiadomo, że w miejscach kędy człowiek gości
 Nigdy nie znaleziono zmarłych zwierząt kości,

Gdy każdy zwierz raniony, lub w ciężkiej chorobie
 Na cmentarz bieży spocząć w przodków swoich
 [grobie.

II.

* Któż zbadał puszczy litewskich szerokie krainy,
 Ich cienie nieprzejrzane, ich wnętrza głębiny!
 Gdzie z borów bory, z gęstych gęste ciągną knieje,
 Strach tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.
 Nie lęka się rybaków dno przepastne morza,
 I myśliwiec nie zgwałci puszczy litewskich łoża:
 Zna je tylko po wierzchu, ich postać, ich lice,
 Lecz obce mu ich serca, życia tajemnice.
 Są tam jakby za światem w ukryciu głębokiem
 Miejsca, nigdy człowieka niezbadane okiem.
 Tam od wieków panują puszczy imperatory
 Żubr pyszny, niedźwiedź groźny ze swojemi dwory;
 Syn panuje po ojcu, bezpieczni siedliskiem,
 Żaden z ich przodków ludzkim nie zginął pocis-
 Blisko nich też żyjący nie tak okazale [kiem.
 Wilcy ich ministrowie, dziki ich wassale,
 A nad nimi latają niby zausznicy

Sępy i orły, gromów i burz posłannicy.
 Człowieka tam nie znają. On by mógł nie zbrojny
 W środku tych zwierząt strasznych przechodzić
 [spokojny.

One by nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
 Jakim w owym ostatnim dniu dzieła stworzenia
 Ojce ich pierwsze, co ich rody zaczynały,
 Patrzyły na Adama, nim się z nim poznały.
 Nikogo niezawiodły w głębie tych przepaści
 Ni ciekawość nauki, ni łowów napaści,
 Czasem tylko.....

KŁÓTNIA

KSIĘGA PIĄTA.

W jaki obłubie kochały się dwoje wspaniałe,
A Tullius w głębi samotnej dąbów
Zaczyna powstawać. Wprawdzie nieczyste
Siedzi z samotnością na polach szarych,
Lecz byłoby już niebezpiecznym, gdyby
Jedny razem obaczył Tulliusa.

K Ł Ó T N I A.

TREŚĆ.

Plany myśliwskie Telimena.—Ogrodniczka wybiera się na wielki świat i słuca nauk opiekunki.—Strzelcy wracają.—Wielkie zadziwienie Tadeusza.—Spotkanie się powtórne w świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek.—U stole wytacza się rzecz o łowach.—Powieść Wojskiego o Rejtanie i Księżu Denassow, przerwana.—Zagajenie układów między stronami, także przerwane.—Zjawisko s kluczem.—Kłótnia.—Hrabia z Gierwazym odbywają radę wojenną.

Wojski chlubnie skończywszy łowy wraca z boru,
A Telimena w głębi samotnego dworu
Zaczyna polowanie. Wprawdzie nieruchoma
Siedzi z założonemi na piersiach rękoma,
Lecz myślą goni zwierzów dwóch; szuka sposobu
Jakby razem obsaczyć i ułować obu:

Hrabie i Tadeusza. Hrabia panicz młody,
 Wielkiego domu dziedzic, powabnej urody;
 Już trochę zakochany! coż? może się zmienić!
 Potem, czy szczerze kocha? czy się zechce żenić
 S kobietą kilka laty starszą! nie bogatą!
 Czy mu krewni pozwolą? co świat powie na to?

Telimena tak myśląc s sofy się podniosła
 I stanęła na palcach, rzekłbyś że podrosła,
 Odkryła nieco piersi, wygięła się bokiem,
 I sama siebie pilnym obejrzała okiem,
 I znowu zapytała o radę zwierciadła;
 Po chwili, wzrok spuściła, westchnęła i siadła.

Hrabia pan! zmienni w gustach są ludzie majątni!
 Hrabia blondyn! blondyni nie są zbyt namiętni.
 A Tadeusz? prostaczek! poczciwy chłopczyna!
 Prawie dziecko! raz pierwszy kochać się zaczyna,
 Pilnowany niełacno zerwie pierwsze zwiąski,
 Przytém dla Telimeny ma już obowiąski;
 Mężczyzni póki młodzi, chociaż w myślach zmienni,
 W uczuciach są od dziadów stalsi, bo sumienni.

Długo serce młodzieńca proste i dziewicze
 Chowa wdzięczność za pierwsze miłości słodycze!
 Ona rososz i wita i żegna z weselem,
 Jak skromną ucztę którą dzielim s przyjacielem.
 Tylko stary pijanica, gdy już spali trzewa,
 Brzydzi się trunkiem, którym nazbyt się zalewa.
 Wszystko to Telimena dokładnie wiedziała,
 Bo i rozum i wielkie doświadczenie miała.

Lecz co powiedzą ludzie? można im zejść z oczu,
 W inne strony wyjechać, mieszkać na uboczu,
 Lub co lepsza, wynieść się całkiem z okolicy,
 Naprzykład zrobić małą podróż do stolicy,
 Młodego chłopca na świat wielki wyprowadzić,
 Kroki jego kierować, pomagać mu, radzić,
 Serce mu kształcić, mieć w nim przyjaciela, brata!
 Nareszcie—użyć świata, póki służą lata!

Tak myśląc, po alkwie śmiało i wesoło
 Przeszła się kilka razy—znów spuściła czoło.

Wartoby też pomyśleć o Hrabiego losie.
 Czyby się nie udało podsunąć mu Zosię?

Niebogata, lecz za to urodzeniem równa,
 Z domu senatorskiego, jest dygnitarzówna.
 Jeżeliby do skutku przyszło ożenienie,
 Telimena w ich domu miałyby schronienie
 Na przyszłość, krewna Zosi i Hrabiego swatka,
 Dla młodego małżeństwa byłaby jak matka.

Po tój s sobą odbytėj, stanowczėj naradzie,
 Woła przez okno Zosię, bawiącą się w sadzie.

Zosia w porannym stroju i z głową odkrytą
 Stała trzymając w ręku podniesione sito.
 Do nóg jój biegło ptastwo; stąd kury szurpate
 Toczą się kłębkim, stamtąd kogutki czubate,
 Wstrząsając koralowe na głowach szyszaki
 I wiosłując skrzydłami przez bruzdy i krzaki,
 Szeroko wyciągają ostrożaste pięty;
 Za niemi zwolna indyk sunie się odęty,
 Sarkając na gderanie swój krzykliwój żony;
 Owdzie pawie jak tratwy długimi ogony
 Sterują się po łące, a gdzie nigdzie z góry
 Upada jak kiść śniegu gołąb' srebrnopióry.

W pośrodku zielonego okręgu murawy,
 Ściska się okrąg ptastwa krzykliwy, ruchawy,
 Opasany gołębi sznurem, na kształt wstęgi
 Białej, środkiem pstrokaty w gwiazdy, w cętki, w prę-
 Tu dzioby bursztynowe, tam czubki s koralu [gi.
 Wznoszą się z gęstwi pierza jak ryby s pod fali.
 Wysuwają się szyje i w ruchach łagodnych
 Chwieją się ciągle nakształt tulipanów wodnych;
 Tysiące oczu jak gwiazd błyskają ku Zosi.

Ona w środku wysoko nad ptastwem się wznosi,
 Sama biała i w długą bieliznę ubrana
 Kręci się, jak bijąca wśród kwiatów fontanna;
 Czerpie s sita i sypie na skrzydła i głowy,
 Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy
 Krup jęczmiennych: to ziarno godne pańskich sto-
 Robi się dla zaprawy litewskich rosółów, [łów,
 Zosia je wykradając s szafy ochmistrzyni
 Dla swego drobiu, szkodę w gospodarstwie czyni.

Usłyszała wołanie: Zosiu!—to głos cioci!

Sypnęła razem ptastwu ostatek łakoci,

A sama kręcąc sito, jako tanecznica
 Bębenek i w takt bijąc, swawolna dziewica
 Jeła skakać przez pawie, gołębie i kury:
 Zmieszane ptastwo tłumnie furknęło do góry.
 Zosia stopami ledwie dotykając ziemi,
 Zdawała się najwyżej bujać między niemi,
 Przodem gołębie białe, które w biegu płoszy,
 Leciały, jak przed wozem bogini rokoszy.

Zosia przez okno s krzykiem do alkowy wpadła,
 I na kolanach ciotki zadyszana siadła;
 Telimena całując i głaszcząc pod brodę,
 Z radością zważa dziecka żywość i urodę,
 (Bo prawdziwie kochała swą wychowanicę.)
 Ale znowu poważnie nastroiła lice,
 Wstała i przechodząc się wszerz i wzdłuż alkowy,
 Dzierżąc palec przy ustach, temi rzekła słowy:

„Kochana Zosiu, już też całkiem zapominasz,
 I na stan i na wiek twój; wszak to dziś zaczynasz
 Rok czternasty, czas rzucić indyki i kurki,
 Fi! to godna zabawka dygnitarskiej córki.

I z umurzaną dziatwą chłopską już do woli
 Napieściłaś się! Zosiu! patrząc serce boli;
 Opaliłaś okropnie pleć, czysta cyganka,
 A chodzisz i ruszasz się, jak parafianka.
 Już ja temu wszystkiemu na przyszłość zaradzę,
 Od dziś zacznę, dziś ciebie na świat wyprowadzę,
 Do salonu, do gości; gości mamy siła,
 Patrzajżeż ażebyś mnie wstydu nie zrobiła.“—

Zosia skoczyła z miejsca i klasnęła w dłonie,
 I ciotce zawisnąwszy oburącz na łonie,
 Płakała i śmiała się na przemian z radości.
 „Ach ciociu! już tak dawno nie widziałam gości;
 Od czasu jak tu żyję s kury i indyki,
 Jeden gość co widziałam to był gołąb' dziki;
 Już mi troszeczkę nudno tak siedzieć w alkwie,
 Pan Sędzia nawet mówi, że to źle na zdrowie.“—

„Sędzia! przerwała ciotka, ciągle mi dokuczał
 Żeby cię na świat wywieść, ciągle pod nos mruczał
 Że już jesteś dorosłą; sam nie wie co plecie,

Dziaduś nigdy na wielkim nie bywały świecie.
 Ja wiem lepiej jak długo trzeba się sposobić
 Panience, by wyszedłszy na świat efekt zrobić.
 Wiedz Zosiu, że kto rośnie na widoku ludzi,
 Choć piękny, choć rozumny, efektów nie wzbudzi,
 Gdy go wszyscy przywykną widzieć od maleńka.
 Lecz niechaj ukształcona, dorosła panienka,
 Nagle ni stąd ni zowąd przed światem zabłyśnie,
 Wtenczas każdy się do niej przez ciekawość cisnie,
 Wszystkie jój ruchy, rzuty oczu jój uważa,
 Słowa jój podsłuchiwa i drugim powtarza:
 A kiedy wejdzie w modę raz młoda osoba,
 Każdy ją chwalić musi, choć i nie podoba.
 Znaleść się, spodziewam się że umiesz; w stolicy
 Urosłaś. Choć dwa lata mieszkasz w okolicy,
 Niezapomniałaś jeszcze całkiem Petersburka,
 No, Zosio, toaletę rób, dostań tam z biórka,
 Nagotowane znajdziesz wszystko do ubrania.
 Spiesz się, bo lada chwila wrócą s polowania.

Wezwano pokojową i służącą dziewczkę;
 W naczynie srebrne wody wylano konewkę,

Zosia jak wróbel w piasku, trzepoce się; myje
 S pomocą slugi ręce, oblicze i szyję.
 Telimena otwiera Petersburskie składy,
 Dobywa flaszki perfum, słoiki pomady,
 Pokrapia Zosię wkoło wyborną perfumą,
 (Woń napełniła izbę) włos namaszcza gumą.
 Zosia kładnie pończoszki białe, ażurowe,
 I trzewiki Warszawskie białe, atlasowe;
 Tymczasem pokojowa sznurowała stanik,
 Potém rzuciła na gors Pannie pudermanik,
 Zaczęto przypieczzone zbierać papiloty,
 Pukle, że nazbyt krótkie, uwito w dwa sploty,
 Zostawując na czole i skroniach włos gładki.
 Pokojowa zaś świeżo zebrane bławatki
 Uwiązawszy w plecionkę, daje Telimenie,
 Ta ją do głowy Zosi przyszpila uczenie,
 S prawej strony na lewo: kwiat od bladych włosów
 Odbijał bardzo pięknie, jak od zboża kłosów!
 Zdjęto puderman, całe ubranie gotowe.
 Zosia białą sukienkę wrzuciła przez głowę,
 Chusteczkę batystową białą w ręku zwija,
 I tak cała wygląda biała jak lilija.

Poprawiwszy raz jeszcze i włosów i stroju;
 Kazano jój wzdłuż i wszerz przejść się po pokoju,
 Telimena uważa znawczyni oczyma,
 Musztruje siostrzenicę, gniewa się i zżyma;
 Aż na dygnienie Zosi krzyknęła z rozpaczey:
 „Ja nieszczęśliwa! Zosiu widzisz co to znaczy
 Życ z gęsmi, s pastuchami! tak nogi rosszerzasz
 Jak chłopiec, okiem w prawo i w lewo uderzasz,
 Czysto rozwódka!—dygnij, patrz jaka niezwinna!“
 „Ach ciociu, rzekła smutnie Zosia, cóż ja winna?
 Ciotka mnie zamykała; nie było s kim tańczyć,
 Lubiłam z nudy ptastwo paść i dzieci niańczyć;
 Ale poczekaj ciociu, niechno się pobawię
 Trochę z ludźmi, obaczysz jak się ja poprawię.“

„Już, rzekła ciotka, z dwojga złego, lepiej s ptastwem
 Niż s tém co u nas dotąd gościło plugastwem;
 Przypomnij tylko sobie, kto tu u was bywał:
 Pleban co pacierz mrucał, lub w warcaby grywał,
 I palestra s fajkami! to mi kawalery!
 Nabrałaś się od nich pięknej manieri.
 Teraz to pokazać się jest przynajmniej komu,

Mamy przecież ucziwe towarzystwo w domu.
 Uważaj dobrze Zosiu: jest tu Hrabia młody,
 Pan, dobrze wychowany, krewny wojewody,
 Pamiętaj być mu grzeczną.—

Słychać rzenie koni

I gwar myśliwców, już są pod bramą: to oni!
 Wziąwszy Zosię pod rękę pobiegła do sali.
 Myśliwi na pokoje jeszcze nie wchadzali,
 Musieli po komnatach odmieniać swą odzież,
 Niechcąc wniść do dam w kurtkach. Pierwsza wpa-
 [dła młodzież,
 Pan Tadeusz i Hrabia, co żywo przebrani.

Telimena sprawuje obowiązki Pani,
 Wita wchodzących, sadza, rozmową zabawia,
 I siostrzenicę wszystkim s kolei przedstawia.
 Naprzód Tadeuszowi, jako krewną bliską;
 Zosia grzecznie dygnęła, on skłonił się nisko,
 Chciał coś do niej przemówić, już usta otworzył,
 Ale spojrzawszy w oczy Zosi tak się strwożył,
 Że stojąc niemy przed nią, to płonął, to bladnął;

Co było w jego sercu, on sam nie odgadnął.
 Uczuł się nieszczęśliwym bardzo—poznał Zosię!
 Po wzroście i po włosach świątłych i po głosie;
 Tę kibić i tę główkę widział na parkanie,
 Ten wdzięczny głos zbudził go dziś na polowanie.
 Aż Wojski Tadeusza wyrwał z zamięszania,
 Widząc że bladnie i że na nogach się ślania,
 Radził mu odejść do swój izby dla spoczynku.
 Tadeusz stanął w kącie, wsparł się na kominku,
 Nic nie mówiąc—szerokie, obłądne źrenice
 Obracał to na ciotkę, to na siostrzenicę.
 Dostrzegła Telimena, iż pierwsze spojrzenie
 Zosi, tak wielkie na nim zrobiło wrażenie;
 Nie odgadła wszystkiego, przecież pomieszana
 Bawi gości, a z oczu nie spuszcza młodziana.
 Wreszcie czas upatrzywszy, ku niemu podbiega.
 Czy zdrów? dla czego smutny? pyta się, nalega,
 Napomyka o Zosi, zaczyna z nim żarty;
 Tadeusz nieruchomy, na łokciu oparty,
 Nic nie gadając marszczył brwi i usta krzywił:
 Tém bardziej Telimenę pomieszzał i zdziwił.
 Zmieniła więc natychmiast twarz i ton rozmowy,
 Powstała zagniewana, i ostremi słowy

Poczęła nań przymówki sypać i wyrzuty;
 Porwał się i Tadeusz jak żądłem ukluty;
 Spojrzał krzywo, nie mówiąc ani słowa, splunął,
 Krzesło nogą odepchnął i s pokoju runął,
 Trzasnąwszy drzwi za sobą. Szczęściem, że téj sceny
 Nikt z gości nie uważał oprócz Telimeny.

Wyleciawszy przez bramę, biegł prosto na pole;
 Jak szczupak, gdy mu oścień skrós piersi przekole,
 Pluska się i nurtuje myśląc że uciecze,
 Ale wszędzie żelazo i sznur s sobą wlecze:
 Tak i Tadeusz ciągnął za sobą zgryzoty,
 Suwając się przez rowy i skacząc przez płoty,
 Bez celu i bez drogi; aż nie mało czasu
 Nabłąkawszy się, w końcu wszedł w głębinę lasu
 I trafił czy umyślnie, czyli też przypadkiem,
 Na wzgórek co był wczora szczęścia jego świadkiem,
 Gdzie dostał ów bilecik, zadatek kochania,
 Miejsce, jak wiemy, zwane *Świątynią dumania*.

Gdy okiem w koło rzuca, postrzega, to ona!
 Telimena; samotna, w myślach pogrążona.

Od wczorajszej postacią i strojem odmienna,
 W bieliźnie, na kamieniu, sama jak kamienna;
 Twarz schyloną w otwarte utuliła dłonie,
 Choć nie słyszysz szlochania, znać że we łzach tonie.

Daremnie bronilo się serce Tadeusza:
 Ulitował się, uczuł że go żal porusza;
 Długo poglądał niemy, ukryty za drzewem,
 Nakoniec westchnął i rzekł sam do siebie z gniewem:
 Głupi! cóż ona winna, że się ja pomylił;
 Więc zwolna głowę ku niej z za drzewa wychylił.
 Gdy nagle Telimena zrywa się s siedzenia,
 Rzuca się w prawo, w lewo, skacze skrós strumienia,
 Roskrzyżowana, z włosom rozpuszczonym, blada,
 Pędzi w las, podskakuje, przyklęka, upada,
 I nie mogąc już powstać, kręci się po darni,
 Widać z jój ruchów wjakiój strasznej jest męczarni;
 Chwyta się za pierś, szyję, za stopy, kolana;
 Skoczył Tadeusz myśląc że jest pomieszana,
 Lub ma wielką chorobę. Lecz z innój przyczyny
 Pochodziły te ruchy.

U bliskiej brzeziny

Było wielkie mrowisko; owad gospodarny
 Snuł się w koło po trawie ruchawy i czarny,
 Nie wiedzieć czy s potrzeby, czy z upodobania,
 Lubił szczególnie zwiedzać świątynię dumania;
 Od stołecznego wzgóрка aż po źródła brzegi
 Wydeptał drogę, którą wiódł swoje szeregi.
 Nieszczęściem, Telimena siedziała śród drożki;
 Mrówki znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,
 Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,
 Telimena musiała uciekać, otrząsać,
 Nakoniec na murawie sięść i owad łowić.

Nie mógł jój swój pomocy Tadeusz odmówić;
 Oczyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył,
 Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył—
 W tak przyjaźnej postawie, choć nic nie mówili
 O rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili;
 I nie wiedzieć jak długo trwałaby rozmowa,
 Gdyby ich nie przebudził dzwonek s Soplicowa—

Hasło wieczery: pora powracać do domu,
 Zwłaszcza że słyhać było opodal trzask łomu.

Może szukają? razem wracać nie wypada;
 Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,
 A Tadeusz na lewo biegł do wielkiej drogi,
 Oboje w tym odwrocie mieli nieco trwogi.
 Telimenie zdało się, że raz s poza krzaka
 Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;
 Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi
 Pokazał się na lewo cień biały i długi;
 Co to było nie wiedział, ale miał przecucie,
 Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczorzano w zamczysku. Uparty Protazy
 Niedbając na wyraźne Sędziego zakazy,
 W niebytność Państwa znowu do zamku szturmo-
 I kredens doń (jak mówi) zaintromitował. [wał,
 Goście weszli w porządku i stanęli kołem;
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem,
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy;
 Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.
 Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna,
 Po prawej stronie męża, ma Podkomorzyna.
 Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,

Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił;
 Mężczyznom dano wódkę; zaczął wszyscy siedli,
 I chłodnik zabielały milcząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,
 W towarzystwie kielichów Węgrzyna, Malagi;
 Jedzą, piją a milczą wszyscy. Nigdy pono
 Od czasu jako mury zamku podźwigniono,
 Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,
 Tyle wesółych słyszał i odbił wiwatów,
 Niepamiętano takiej posępnej wieczerzy;
 Tylko pukanie korków i brzęki talerzy,
 Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:
 Rzekłbyś iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milczenia: myśliwi
 Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;
 Lecz gdy zapal ochłonał, myśląc nad obławą,
 Postrzegają że wyszli z niej nie z wielką sławą:
 Trzebaż było ażeby jeden kaptur popi,
 Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s Konopi,

Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wsty-
 Cóż o tém będą gadać w Oszmianie i Lidzie [dzie!
 Które od wieków walczą s tutejszym powiatem
 O pierwszeństwo w strzelectwie; myślili więc nad
 [tém.

Zaś Assesor i Rejent, prócz wspólnych niechęci,
 Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.
 W oczach im stoi niecny kot, skoki wyciąga,
 I omykiem s pod gaju kiwając urąga,
 I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem.
 Siedzieli s pochyloném ku misie obliczem.
 Assesor nowe jeszcze miał powody żalów,
 Patrząc na Telimenę i na swych rywalów.
 Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,
 Pomieszana, za ledwie śmie nań rzucić okiem;
 Chciała zasepionego Hrabiego zabawić,
 Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor
 [wprawić:
 Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił s przechadzki,
 A raczej jako myślił Tadeusz z zasadzki;
 Słuchając Telimeny, czoło podniósł hardo,
 Brwi zmarszczył, spojrział na nią ledwie nie s pogar-
 Potém przysiadł się jak mógł najbliżej do Zosi, [dą;

Nalewa jój do szklanki, talerze przynosi,
 Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiecha,
 Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.
 Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie,
 Że umizgał się, tylko na złość Telimencie;
 Bo głowę odwracając niby nieumyślnie,
 Co raz ku Telimencie groźném okiem błysnie.

Telimena nie mogła pojąć co to znaczy,
 Ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy.
 Wreszcie nowym zalotom Hrabiego dość rada,
 Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz też posepny, nic nie jadł, nic nie pił,
 Zdawał się słuchać rozmów, oczy w talerz wlepił;
 Telimena mu leje wino, on się gniewa
 Na natrętność; pytany o zdrowie—poziewa.
 Ma za złe (tak się zmienił jednego wieczora)
 Że Telimena zbytnie do zalotów skora;
 Gorszy się że jój suknia tak wcięta głęboko,
 Nie skromnie—a dopiéro, kiedy podniósł oko!
 Aż przeląkł się, bystrzejsze teraz miał źrenice,

Ledwie spójrzał w rumiane Telimeny lice,
 Odkrył od razu wielką, straszną tajemnicę!
 Przebóg, naróżowana!

Czy róż w złym gatunku,
 Czy jakoś na obliczu przetarł się s trefunku:
 Gdzie niegdzie zrzędniał, na wskrós grubszą płeć
 Może to sam Tadeusz w *Świątyni dumania*, [odsłania;
 Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła
 Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.
 Telimena wracała nazbyt śpieszno z lasu,
 I poprawić kolory swe nie miała czasu;
 Około ust szczególnież widne były piegi.
 Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,
 Odkrywszy jedną zdradę, poczną w kolej zwiedzać
 Resztę wdzięków, i wszędzie jakiś fałsz wysledzać:
 Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni
 Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się
 [chroni!

Niestety! czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie,
 Rzec piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie,
 Być szpiegiem swój kochanki nawet jak szkaradnie,

Odmieniać smak i serce—lecz któż sercem władnie?
 Darmo chce brak miłości zastąpić sumieniem,
 Chłód duszy ogrzać znowu jej wzroku promieniem:
 Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,
 Błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła...
 Takie robiąc sam w sobie wyrzuty i skargi,
 Pochylił w talerz głowę, milczał i gryzł wargi.

Tymczasem zły duch nową pokusą go wabi,
 Podśluchiwać co Zosia mówiła do Hrabi:
 Dziewczyna uprzejmością Hrabiego ujęta,
 Z razu rumieniła się spuściwszy oczęta,
 Potém śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali
 O jakiémś niespodzianém w ogrodzie spotkaniu,
 O jakiémś po łopuchach i grzędach stapaniu.
 Tadeusz, wyciągnąwszy co najdłużej uszy,
 Polykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy.
 Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie żmija,
 Dwoistém żądłem zioło zatrute wypija,
 Potém skręci się w kłębek i na drodze legnie,
 Grożąc stopie co na nią nieostróżnie biegnie;
 Tak Tadeusz opily trucizną zazdrości,
 Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

W najweselszém zebraniu niech się kilku gniewa,
 Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa.
 Strzelcy dawniej milczeli, druga stołu strona
 Umilkła, Tadeusza żółcią zarażona.

Nawet Pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,
 Nie miał ochoty gadać, widząc swoje córy
 Posażne i nadobne panny, w wieku kwiecie,
 Zdaniem wszystkich najpierwsze partye w powiecie,
 Milczące, zaniedbane od milczącej młodzi.
 Gościnnego Sędziego również to obchodzi;
 Wojski zaś uważając że tak wszyscy milczą,
 Nazywał tę wieczerzę nie polską lecz wilczą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,
 Sam gawęda, i lubił niezmiernie gaduły.
 Nie dziw! ze szlachtą strawił życie na biesiadach,
 Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach;
 Przywykł żeby mu zawsze coś bębniło w ucho,
 Nawet wtenczas, gdy milczał, lub s placką za muchą
 Skradał się, lub zamknąwszy oczy siadał marzyć;
 W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwa-
 [rzyć

Pacierze różańcowe, albo gadać bajki;
 Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,
 Wymyślonój od Niemców by nas seudzoziemczyk;
 Mawiał: Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć. —
 Starzec wiek przegwarzywszy chciał spoczywać w
 Milczeniu go budziło ze snu: tak młynarze [gwarze,
 Uśpieni kół tarkotem, ledwie staną osie,
 Budzą się krzycząc s trwożą: a słowo stało się.

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,
 A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,
 Prosząc o głos; Panowie na ten ukłon niemy
 Odkłonili się oba, co znaczy: prosiemy.
 Wojski zagaił.

„Śmiałym upraszać młodzieży,
 Ażeby postaremu bawić u wieczerzy,
 Nie milczeć i zuć: czy my Ojce Kapucyni?
 Kto milczy między szlachtą, to właśnie tak czyni,
 Jako myśliwiec który nabój rdzawi w strzelbie:
 Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię.
 Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,

Ale aby nawzajem mogli się wygadać,
 Co każdy miał na sercu; nagany, pochwały
 Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,
 Wywoływano na plac; powstawała wrzawa,
 Miła uchu myśliwców, jak druga obława.

Wiem, wiem o co wam idzie: ta czarnych trosk chmu-
 Pono z Robakowego wzniosła się kaptura! [ra
 Wstydzicie się swych pudeł! niech was wstyd nie pali,
 Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiali;
 Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolej strzelecka.
 Ja sam, chociaż ze strzelbą włóczę się od dziecka,
 Chybiałem; chybiał sławny ów strzelec Tułoszczyk,
 Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.
 O Rejtanie opowiem później. Co się tycze
 Wypuszczenia z obławy, że oba panicze
 Zwierzowi jak należy kroku nie dostali
 Choć mieli oszczep w ręku, tego nikt nie chwali,
 Ani gani: bo zmykać mając nabój w rurze
 Znaczyło po staremu być tchórzem nad tchórze;
 Toż wystrzelić na oślep (jak to robi wielu)
 Nie przypuściwszy zwierza, nie wzięwszy do celu,
 Jest rzecz haniebna; ale kto dobrze wymierzy,
 Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,

Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,
 Albo walczyć oszczepem, lecz z własnej ochoty,
 A nie z musu: gdyż oszczep strzelcom poruczony,
 Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.
 Tak było po staremu: a więc mnie zawiercie,
 I waszój rejterady do serca nie bierzcie,
 Kochany Tadeuszkę i Wielmożny Grafie;
 Ilekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,
 Wspomnijcie też starego Wojskiego przestrożę,
 Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,
 Nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny.

Właśnie Wojski wymawiał to słowo zwierzyny,
 Gdy Assesor półgębkiem podszeptał: dziewczyny;
 Brawo! krzyknęła młodzież, powstał szmer i śmiechy,
 Powtarzano s kolei przestrożę Hreczechy,
 Mianowicie ostatnie słowo: ci zwierzyny,
 A drudzy w głos śmiejąc się krzyczeli: dziewczyny.
 Rejent szepnął: kobiety,—Assesor: kokiety,
 Utkwiwszy w Telimienie oczy jak sztylety.

Nie myślił wcale Wojski przymawiać nikomu,
 Ani uważał, co tam szepcą pokryjomu;

Rad bardzo, że mógł damy i młodzież rozśmieszyć,
Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć.
I zaczął, nalewając sobie kielich wina:

„Nadaremnie oczyma szukam Bernardyna;
Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,
Podobny do zdarzenia dzisiejszój oblawy.
Klucznik mówił, że tylko znał jednego człeka,
Co tak celnie jak Robak mógł strzelić zdaleka;
Ja zaś znałem drugiego: równie trafnym strzałem
Ocalił on dwóch panów; sam ja to widziałem,
Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów,
Tadeusz Rejtan poseł i książę Denassow.
Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie,
Owszem u stołu, pierwsi wnieśli jego zdrowie,
Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,
I skórę zabitego dzika: o tym dziku
I o strzale powiem wam jak naoczny świadek;
Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,
A zdarzył się największym strzelcom za mych cza-
Posłowi Rejtanowi i księciu Denassow.“ [sów,

A w tém ozwał się Sędzia, nalewając czasie,

„Piję zdrowie Robaka, Wojski w ręce wasze,
 Jeśli datkiem nie możem kwestarza zbogacić,
 Postaramy się przecież za proch mu zapłacić,
 Uręczamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru,
 Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.
 Lecz skóry Księdzu nie dam; lub gwałtem zabiorę,
 Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,
 Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.
 Skórą tą rozrzadzimy wedle naszej woli;
 Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży,
 Skórę Jaśnie Wielmożny pan nasz Podkomorzy
 Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył.“

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;
 Strzelcy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał,
 Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał,
 Tamten psiarnię zawołał, ów zwierza nawrócił
 Znowu w ostęp. Assesor z Rejentem się kłócił,
 Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszkówki,
 Drugi bałabanowskiej swój Sagalasówki.

„Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,

Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa boży;
 Lecz niełacno rozsądzić kto jest po nim drugi,
 Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,
 Wszyscy równi zręcznością, biegłością i męstwem.
 Przecież dwóch dziś odznaczył los niebezpieczeń-
 Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura, [stwem,
 Tadeusz i Pan Hrabia; im należy skóra.
 Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny)
 Jako młodszy i jako gospodarza krewny;
 Więc spolia opima weźmiesz Mości Hrabia.
 Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,
 Niechaj pamiątką będzie dzisiejszej zabawy,
 Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłej
 [sławy.

Umilknął wesoł, myśląc że Hrabie ucieszył,
 Nie wiedział jak boleśnie serce jego przeszył.
 Bo Hrabia na strzeleckiej komnaty wspomnienie,
 Mimowolnie wzrok podniósł; a te łby jelenie,
 Te gałęziste rogi jakby las wawrzynów
 Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,
 Te rzędami portretów zdobione filary,
 Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,

Ziemią, w sposób następny. «—Tu zaczął wywodzić
 Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłej zamiany;
 Już był w połowie rzeczy; gdy ruch niespodziany
 Wszczął się na końcu stoła: jedni coś postrzegli,
 Wskazując palcem, drudzy oczyma tam biegli,
 Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosa schylone
 W stecznym wiatrem, przeciwną zwróciły się stronę,
 W kąt.

S kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka
 Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,
 Z małych drzwiczek ukrytych pomiędzy filary,
 Wysunęła się cicho postać, nakształt mary.
 Gerwazy; poznano go po wzroście, po licach,
 Po srebrzystych, na żółtej kurcie Półkozicach.
 Stąpał jako słup prosto, niemy i surowy,
 Niezdjąwszy czapki, nawet nieschyliwszy głowy;
 W rękę trzymał błyszczący klucz jakby pugiuał,
 Odemknął szafę i w niej coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,
 Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;

Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,
 Południe wskazywały często o zachodzie;
 Gerwazy nie przybrał się maszyny naprawić,
 Ale bez nakręcenia nie chciał jój zostawić,
 Dręczył kluczem zegary każdego wieczora;
 Właśnie teraz przypadła nakręcania pora.
 Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę
 Stron interesowanych, on pociągnął wagę:
 Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,
 Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał rozprawę.

„Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę.”
 I kończył plan zamiany; lecz Klucznik na psotę
 Jeszcze silniej pociągnął drugiego ciężaru;
 I wnet gil który siedział na wierzchu zegaru,
 Trzepiocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów nóty.
 Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda że popsuty,
 Zająkał się i piszczał, im dalej tém gorzej.
 Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podko-
 [morzy.
 „Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczej puszczyku,
 Jeśli dziób twój szanujesz, dość mi tego krzyku.”

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył,
 Prawą rękę poważnie na zegar położył,
 A lewą wziął się pod bok; tak oburącz wsparty,
 „Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty,
 Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach
 Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach:
 Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze
 Nocą włazi, ten puszczyk, i ja go wystraszę.“
 — „Za drzwi z nim!“ Podkomorzy krzyknął.

— „Panie Hrabia!

Zawołał Klucznik, widzisz Pan co się wyrabia:
 Czy niedosyć się jeszcze pański honor plami,
 Że Pan jadasz i pijasz s temi Soplicami;
 Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,
 Gerwazego Rembajłę, Horeszków Klucznika,
 Lżyć w domu Panów moich, i Pan-że to zniesie!“
 Wtém Protazy zawołał trzykroć: „Uciszcie się,
 Na ustęp! Ja, Protazy Baltazar Brzechalski,
 Dwojga imion, Generał niegdyś trybunalski,
 Vulgo Woźny, woźneńską obdukcją robię
 I vizyą formalną, zamawiając sobie

Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo,
 I pana Assessora wzywając na śledztwo,
 S powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy:
 O inkursyą, to jest o najazd granicy,
 Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,
 Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada. «
 »Brzechaczu, wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę; «
 I dobywszy z zapasa swe żelazne klucze,
 Okręcił w koło głowy, puścił s całej mocy;
 Pęk żelaza wyleciał, jako kamień s procy.
 Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci;
 Szczęściem schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy, chwilę była głucha
 Cichość, aż Sędzia krzyknął: »w dyby tego zucha!
 Hola chłopcy! «—i czeladź rzuciła się żwawo
 Ciasném przejściem pomiędzy ścianami i ławą;
 Lecz Hrabia krzesłem w środku zagroził im drogę
 I na tym szanću słabym utwierdziwszy nogę,
 »Wara! zawołał, Sędzio! niewolno nikomu
 Krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu;
 Kto ma na starca skargę, niech mi ją przełoży. «

Zyżem w oczy Hrabiemu spojrział Podkomorzy.

„Bez Waścinéj pomocy ukarać potrafię

Zuchwałego szlachetkę; a Waść Mości Grafie,

Przed dekretem ten zamek zawczasie przywła-
[szczasz;

Nie Wać tu jesteś panem, nie Wać nas ugaszczasz.

Siedź cicho jakoś siedział; jeśli siwéj głowy

Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy.”

„Co mi? odmruknął Hrabia, dość już téj gawędy,

Nudźcie drugich waszemi względy i urzędy;

Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Wać pań-

W pijatyki, które się kończą grubijaństwem. [stwem

Zdacie mi sprawę z mego honoru obrazy;

Do widzenia po trzeźwu; pójdź za mną Gerwazy.”

Nigdy się odpowiedzi takiéj nie spodziewał
Podkomorzy, właśnie swój kieliszek nalewał,

Gdy zuchwalstwem Hrabiego rażony jak gromem

Oparłszy się o kielich butlem nieruchomym,

Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,

Oczy rozwarł szeroko, usta w pół otworzył;

Milczał, lecz kielich w rękę tak potężnie cisnął,
 Że szkło dźwięknawszy pękło, płyn w oczy mu pry-
 Rzekłbysze z winem ognia w duszę się nalało, [snał.
 Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało,
 Zerwał się mówić, pierwsze słowo niewyraźnie
 Mleł w ustach, aż przez zęby wyleciało: „Błaźnie!
 Grafiatko! ja cię! Tomasz! karabełę! Ja tu
 Nauczę ciebie mores, błaźnie, daj go katu!
 Względy, urzędy nudzą, uszko delikatne!
 Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płaćnę.
 Fora za drzwi! do korda! Tomasz, karabełę!”

Wtém do Podkomorzego skoczą przyjaciele;
 Sędzia porwał mu rękę: „Stój Pan, to rzecz nasza,
 Mnie tu naprzód wyzwano. Protazy, pałasza!
 Puszczyć go w taniec jako niedźwiadka na kiju.”
 Lecz Tadeusz Sędziego wstrzymał: „Panie stryju,
 Wielmożny Podkomorzy, czyż się Państwu godzi
 Wdawać się s tym firecykiem, czy tu nie ma młodzi?
 Na mnie to zdajcie, ja go należycie skarczę;
 A Waszeć, Panie śmiałku, co wyzywasz starce,
 Obaczym czyli jesteś tak strasznym rycerzem;

Rosprawimy się jutro, plac i broń wybierzem.
Dziś uchodź pókiś cały.“

Dobra była rada;
Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie łađa.
Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,
Ale z ostrego końca latały butelki
Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety
W prośby, w płacz; Telimena, krzyknąwszy: niestety!
Wzniosła oczy, powstała, i padła zemdlona,
I przechyliwszy szyję przez Hrabi ramiona,
Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie.
Hrabia choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,
Zaczął cucić, ocierać.

Tymczasem Gerwazy,
Wystawiony na stołków i butelek razy,
Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście
Rzuciła się nań zewsząd hurmem, gdy na szczęście
Zosia widząc szturm, skoczy i litością zdjęta,
Zasłania starca na krzyż rospiąwszy rączęta.
Wstrzymali się; Gerwazy zwolna ustępował,

Zniknął z oczu; szukano gdzie się pod stół schował;
 Gdy nagle, z drugiej strony wyszedł jak s pod ziemi,
 Podniósłszy w górę ławę ramiony silnemi,
 Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,
 Wziął Hrabie i tak oba, ławą zasłonieni,
 Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,
 Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrzął na wrogów,
 Dumął chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,
 Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie.
 Obrął drugie; już ławę jak taran mурowy
 W tył dźwignął dla zamachu, już ugiąłwszy głowy,
 Z wypiętą na przód pierśią, s podniesioną nogą,
 Miał wpaść.... ujrzał Wojskiego, uczuł w sercu
 [trwożę.

Wojski, cicho siedzący s przymrużoném okiem,
 Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiém;
 Dopiero gdy się Hrabia s Podkomorzym skłócił
 I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,
 Zażył dwakroć tabaki i przetarł powieki.
 Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,
 Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,

O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.
 Przypatrywał się zatem s ciekawością walce,
 Wyciągnął zlekka na stół rękę, dłoń i palce,
 Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia
 Indexu, a żelazem zwrócony do łokcia,
 Potém rękę w tył nieco wychyloną kiwał
 Niby bawiąc się, lecz się w Hrabiego wpatrywał.

Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznej bitwie,
 Już była zaniedbana podówczas na Litwie,
 Znajoma tylko starym; Klucznik jój próbował
 Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niej ce-
 Widać z zamachu ręki że silnie uderzy, [lował.
 A z oczu łącno zgadnąć, że w Hrabiego mierzy
 (Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli).
 Mniej baczni młodzi ruchów starca niepojęli,
 Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,
 Cofa się ku drzwiom.— „Łapaj!“ krzyknęła gromada.

Jako wilk obskoczony zniecka przy scierwie,
 Rzuca się oslep w zgraję co mu ucztę przerwie,

Już goni, ma ją szarpać, wtém, śród psiego wrzasku
 Trzasło ciche półkurence, wilk zna je po trzasku,
 Śledzi okiem, postrzega że s tyłu za charty,
 Myśliwiec w pół schylony, na kolanie wsparty,
 Rurą ku niemu wije, i już cyngła tyka;
 Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka,
 Psiarnia s tryumfującym rzuca się hałasem,
 I skubie go po kudłach, zwierz zwraca się czasem,
 Spojrzy, klapnie paszczką, i, białych klów zgrzytem
 Ledwie pogrozi, psiarnia pierzcha ze skowytem.
 Tak i Gerwazy z groźną cofał się postawą,
 Wstrzymując napastników oczyma i ławą,
 Aż razem z Hrabią wpadli w głąb' ciemnej framugi.

„Łapaj!“ krzykniono znowu; tryumf był nie długi
 Bo nad głowami tłumu Klucznik niespodzianie
 Ukazał się na chorze, przy starym organie,
 I s trzaskiem jął wrywać ołowiane rury.
 Wielkąby klęskę zadał uderzając z góry
 Ale już goście tłumnie wychodzili s sieni,
 Nieśmieli kroku dostać słudzy potrwożeni,
 I chwytając naczynia w ślad Panów uciekli,

Nawet nakrycia s częścią sprzętów się wyrzekli.
 Któż ostatni, niedbając na groźby i razy,
 Ustąpił s placu bitwy? Brzechalski Protazy.
 On za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,
 Ciągnął woźnieńskim głosem swoje oświadczenie,
 Aż skończył, i s pustego szedł pobojowiska,
 Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.

W ludziach straty nie było; ale wszystkie ławy
 Miały zwichnione nogi, stół także kulawy,
 Obnażony z obrusa, poległ na talerzach
 Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,
 Między licznemi kurcząt i jendyków ciała,
 W których piersi widelce świeżo wbite tkwiały.

Po chwili w Horeszkowskim samotnym budynku,
 Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.
 Mrok zgęstniał; reszty pańskiej, wspaniałej biesiady
 Leżą, podobne uczcie nocnej, gdzie na dziady
 Zgromadzać się zakłęte mają nieboszczyki.
 Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki
 Jak guślarze; zdają się witać wschód miesiąca

Którego postać oknem spadła na stół, drżąca,
 Niby dusza czyscowa, s podziemu, przez dziury
 Wyskakiwały nakształt potępieńców szczury:
 Gryzą, piją; czasami, w kącie zapomniana,
 Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugiem piętrze, w izbie którą zwano,
 Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,
 Stał Hrabia na krużganku zwróconym ku bramie;
 Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramie,
 Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował,
 I pierś surdudem jakby płaszczem udrapował.
 Gerwazy chodził kroki wielkimi po sali,
 Obadwa zamysłeni, do siebie gadali:
 „Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą pałasze.“
 „Zamek, rzekł Klucznik i wieś, oboje to nasze.“
 „Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemie
 Wyzywaj.“ — „Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie
 Zabieraj Pan“ to mówiąc zwrócił się do Hrabi—
 „Jeśli Pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.
 Po co proces, Mopanku! sprawa jak dzień czysta,
 Zamek w rękę Horeszków był przez lat czterysta;

Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,
 I jak Pan wie, oddano władaniu Soplicy.
 Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,
 Za koszta processowe, za karę grabieży.
 Mówiłem Panu zawsze, processów zaniechać,
 Mówiłem Panu zawsze: najechać, zajechać;
 Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiadzie,
 Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.
 Co się tycze dawniejszych s Soplicami sprzéczek,
 Jest na to od processu lepszy scyzoryczek,
 A jeśli Maciej w pomoc da mi swą różeczkę,
 To my we dwóch, Sopliców tych porzniem na sie-
 [czkę.

„Brawo! rzekł Hrabia, plan twój, gotycko-sarmacki,
 Podoba się mi lepiej, niż spór adwokacki.
 Wiész co? na całej Litwie narobim hałasu
 Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.
 I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,
 Jakąż bitwę widziałem? s chłopami o miedzę.
 Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży;
 Odbyłem taką jedną w czasie mych podróży.
 Gdym w Sycylii bawił u pewnego księcia,

Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,
 I okupu od krewnych żądali zuchwale;
 My zebrawszy na prędcę sługi i wassale,
 Wpadliśmy; ja dwóch zbójców ręką mą zabiłem,
 Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.
 Ach mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,
 Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!
 Lud s kwiatami spotykał nas—córka książęcia
 Wdzięczna zbawcy, ze łzami padła w me objęcia.
 Gdym przybył do Palermo, wiedziano z gazety,
 Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety.
 Nawet wydrukowano o całym zdarzeniu
 Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.
 Romans ma tytuł: *Hrabia, czyli tajemnice*
Zamku Birbante-rokka, Czy są tu ciemnice
 W tym zamku? — „Są, rzekł Klucznik, ogromne
 Ale puste! bo wino wypili Soplice.“ [piwnice,
 „Dżokejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,
 Z włości wezwać wassalów!“ — „Lokajów? broń
 [Boże.
 Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?
 Kto widział zajazd robić s chłopstwem i z lokaj-
 Mój Panie, na zajazdach nieznacie się wcale, [stwem?

Wąsalów co innego, zdadzą się wąsale.
 Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,
 W Dobrzynie, w Rzekikowie, w Ciętyczach w Rą-
 [bankach,
 Szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynie,
 Wszyscy przychylni Panów Horeszków rodzinie,
 Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!
 Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlachciców;
 To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca,
 I wyśpi się, bo jutro będzie wielka praca.
 Pan spać lubi, już późno, drugi kur już pieje;
 Ja tu będę pilnować zamku aż rozdnieje,
 A ze słoneczkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku.“

Na te słowa pan Hrabia ustąpił s krużganku,
 Ale nim odszedł, spójrzył przez otwór strzelnicy,
 I widząc światel mnóstwo w domostwie Soplicy:
 „Illuminujcie! krzyknął; jutro o téj porze,
 Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dwo-
 [rze.“

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,
 I pochylił ku piersiom czoło zadumane;
 Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łyсы,

Gerwazy po nim kreslił palcem różne rysy;
 Widać że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.
 Ciężą mu coraz bardziej powieki brzemiennie,
 Bezwładną kiwał szyją, czuł że go sen bierze,
 Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.
 Lecz między Ojczenaszém i Zdrowaś Maryą,
 Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:
 Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne Pany,
 Ci niosą karabele, drudzy buzdygany,
 Każdy groźnie spoziera i pokręca wąsa,
 Składa się karabelą, buzdyganem wstrząsa.
 Za nimi jeden cichy, posępny cień mignął,
 S krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,
 Poznał Stolnika; zaczął w koło siebie żegnać,
 I ażeby tém pewniéj straszne sny rozegnać,
 Odmawiał litaniją o czyscowych duszach.
 Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach.
 Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabele:
 Zajazd! zajazd Korelicz i Rymsza na czele!
 I ogląda sam siebie: jak na koniu siwym,
 S podniesionym nad głową rapiérem straszliwym
 Leci; rozpięta na wiatr szumi taratanka,
 Z lewego ucha spadła w tył konfederatka;

Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala,
I nakoniec Soplicę w stodole podpala.
Wtém ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,
I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.

ZASOBIANEK

KSIĘGA SZÓSTA.

ZAŚCIANEK.

TREŚĆ.

Pierwsze ruchy wojenne zajazdu.—Wyprawa Protazego.—Robak
s Panem Sędzią radzą o rzeczy publicznej.—Dalszy ciąg wy-
prawy Protazego bezskutecznej.—Ustęp o konopiach.—Zaścia-
nek szlachecki Dobrzyń.—Opisanie domostwa i osoby Maćka
Dobrzyńskiego.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca; wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało, tędy ma zstąpić na ziemię,
Lecz idzie nie wesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim, wszystko się spóźniło
 Na ziemi; było późno na paszę ruszyło,
 I zdybało zające przy późném śniadaniu;
 One zwykły do gajów wracać o świtaniu,
 Dziś okryte tumanem, te mokrzycę chrupią,
 Te jamki w roli kopiąc, parami się kupią,
 I na wolném powietrzu myślą użyć wczasu;
 Ale przed bydłem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa,
 Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
 Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
 I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży
 Klekce bocian; na kopach siedzą wrony zmokłe,
 Rozdziawiwszy się ciągną gawędy rozwlokłe,
 Obrzydłe gospodarzom jako wróżby słoty.
 Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
 Jak dzień słoty ponurą, tęskną, jednostajną,
 Tém smutniejszą że dźwięk jój w mgłę bez echa
 Chrząsnęły sierpy w zbożu, ozwała się łąka, [wsiąka,

Rząd kosiarzy otawę siękających wciąż brząka,
 Pogwizdując piosenkę; s końcem każdej zwrotki
 Stają, ostrzą żelazca i w takt kują w młotki.
 Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy,
 I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

W środku, na snopie zboża Ekonom usiadłszy
 Nudzi się, kręci głową, roboty nie patrzy,
 Pogląda na gościniec, na drogi rosstajne,
 Kędy działa się jakieś rzeczy nadzwyczajne.

Na gościńcu i drogach od samego ranka
 Panuje ruch niezwykły; stąd chłopska furmanka
 Skrzypi, lecąc jak poczta, stąd szlachecka bryka,
 Czwałem tarkocze, drugą i trzecią spotyka:
 Z lewej drogi posłaniec jak kuryer goni,
 S prawej przebiegło w zawód kilkanaście koni,
 Wszyscy spieszą, ku różnym kierują się stronom:
 Co to ma znaczyć? Powstał ze snopa Ekonom,
 Chciał przypatrzeć się, spytać; długo stał nad drogą,
 Daremnie wołał, nie mógł zatrzymać nikogo,
 Ni poznać we mgle. Jezdni migają jak duchy,

Tylko słychać raz po raz tentent kopyt głuchy,
 I co dziwniejsza jeszcze, szczęką pałaszy:
 Bardzo to Ekonoma i cieszy i straszy.
 Bo choć na Litwie było naonczas spokojnie,
 Dawno już wieści głuche biegały o wojnie,
 O Francuzach, Dąbrowskim, o Napoleonie.
 Miałyżby wojnę wróżyć ci jeźdźcy? te bronie?
 Ekonom pobiegł wszystko Sędziemu powiedzieć,
 Spodziewając się i sam czegoś się dowiedzieć.

W Soplicowie domowi i goście, po kłótni
 Wczorajszej, wstali s siebie nieradzi i smutni.
 Próżno Wojszczanka damy na kabałę sprasza,
 Mężczyznom próżno karty dają do maryasza,
 Nie chcą bawić się, ni grać, siedzą cicho w kątkach,
 Mężczyzni palą lulki, kobiety przy prątkach;
 Nawet śpią muchy.

Wojski, rzuciwszy łopatkę,
 Znudzony ciszą, idzie pomiędzy czeladkę.
 Woli w kuchennój słuchoać ochmistrzyni krzyków,
 Groźb i razów kucharza, hałas u kuchcików;

Aż go powoli wprowadził w przyjemne marzenie,
Ruch jednostajny różnów kręcących pieczenie.

Sędzia od rana pisał zamknawszy się w izbie,
Woźny od rana czekał pod oknem na przyzbie;
Sędzia, skończywszy pozew, Protazego wzywa,
Skargę przeciw Hrabiemu głośno odczytywa:
O skrzywdzenie honoru, zelżywe wyrazy,
Zaś przeciw Gerwazemu o gwałty i razy;
Obudwu o przechwałki, o koszta s powodu
Processu, ciągnie w rejestr taktowy do grodu.
Pozew dziś trzeba wręczyć ustnie, oczywiście,
Nim zajdzie słońce. Woźny z miną uroczystą
Wyciągnął słuch i rękę, skoro pozew zoczył;
Stał poważnie, a radby z radości podskoczył.
Na samą myśl procesu czuł że się odmłodził:
Wspomniał na dawne lata, gdy s pozwami chodził
Po guzy, ale razem po zapłaty hojne;
Tak żołnierz, który strawił życie tocząc wojnę,
A na starość w szpitalach spoczywa kaleki;
Skoro usłyszy trąbę lub bęben daleki,
I na drewnianej nodze skacze ze szpitala,
Tak prędko, że go ledwie może złowić młodzież.

Protazy śpieszył włożyć swą woźnięską odzież:
 Przecież żupana ani kontusza nie kładzie,
 One służą ku wielkiej sądowej paradzie;
 Na podróż ma strój inny: szerokie rajtuzy
 I kurtę, której poły, podpięte na guzy,
 Można zakasać albo spuścić na kolana;
 Czapka z uszami, sznurkiem u wierzchu związana,
 Wznosi się na pogodę, spuszcza się przed słońcą.
 Tak ubrany wziął pałkę i ruszył piechotą,
 Bo woźni przed processem, jak szpiegi przed bojem,
 Muszą kryć się pod różną postacią i strojem.

Dobrze zrobił Protazy że w drogę pospieszył,
 Bo niedługoby swoim pozwem się nacieszył.
 W Soplicowie zmieniono kampanii plany:
 Do Sędziego wpadł nagle Robak zadumany,
 I rzekł: „Sędzio, to bięda nam s tą panią ciotką,
 S tą panią Telimeną, kokietką i trzpiotką.
 Kiedy Zosia została dzieckiem w biędnym stanie,
 Jacek ją Telimienie dał na wychowanie,
 Słyszając że jest osoba dobra, świat znająca,
 A postrzegam że ona coś tu nam zamąca,

Intryguje i pono Tadeuszka wabi;
 Śledzę ją; albo może bierze się do Hrabi,
 Może do obu razem: obmyślmy więc środki
 Jak się jój pozbyć, bo stąd mogą urosć plotki,
 Zły przykład i pomiędzy młokosami zwady,
 Które mogą pomieszać twe prawne układy.“

„Układy? krzyknął Sędzia z niezwykłym zapalem,—
 Z układów kwita, już je skończyłem, zerwałem.“

„A to co? przerwał Robak, gdzie rozum, gdzie głowa,
 Co tu mi Wasze bajesz, jaka burda nowa?“

„Nie z méj winy, rzekł Sędzia, process to wyjaśni.
 Hrabia pyszałek, głupiec, był przyczyną waśni,
 I Gerwazy łotr; lecz to do sądu należy.

Szkoda, żeś nie był, Księżu, w zamku na wieczerzy,
 Poświadczyłbyś jak Hrabia srodze mnie obraził.“

„Po coś Waść, krzyknął Robak, do tych ruin łąził,
 Wiész jak zamku nie cierpię; odtąd moja noga

Tam nie postanie. Znowu kłótnia! kara Boga!

Jakże tam było? powiedz; trzeba tę rzecz zatrzeć,

Już mię znudziło wreszcie na tyle głupstw patrzeć!

Ważniejsze ja mam sprawy niż godzić pieniaczy,

Ale jeszcze raz zgodzę.“—„Zgodzić? cóż to znaczy!

A idźże mi Waść wreszcie s tą zgodą do licha!

Przerwał Sędzia tupnąwszy nogą, patrzcie mnicha!
 Że go przyjmuję grzecznie, chce mnie za nos wodzić.
 Wiedz Wasze, że Soplice nie zwykli się godzić;
 Gdy pozwą, muszą wygrać: nieraz w ich imieniu
 Trwał process, aż wygrali w szóstém pokoleniu.
 Dostyc zrobiłem głupstwa s porady Waszeci,
 Zwołując podkomorskie sądy po raz trzeci.
 Od dzisiaj nie ma zgody, nie ma, nie ma, niema!
 (I krzycząc chodził, tupał nogami obiema).
 Prócz tego za wczorajszy niegrzeczny uczynek
 Musi mnie deprekować, albo pojedynek![«]
 „Ale Sędzio, cóż będzie jak się Jacek dowie?
 Wszak on umrze z rozpaczy! Czyliż Soplicowie
 Nie narobili jeszcze w tym zamku dość złego!
 Bracie! wspominać nie chcę wypadku straszego.
 Wiész także, że część gruntów od zamku dziedzica
 Zabrała i Soplicom dała Targowica.
 Jacek za grzech żałując, musiał był ślubować
 Pod absolucją, dobra te restytuować.
 Wziął więc Zosię, Horeszków dziedziczkę ubogą,
 Hodować, wychowanie jój opłacać drogo.
 Chciał ją Tadeuszkowi swojemu wyswatać,
 I tak dwa poróżnione domy znowu zbratać,

I dziedzicze bez wstydu ustąpić grabieży. «
 »Lecz cóż to? krzyknął Sędzia, co do mnie należy?
 Ja się nie znałem, nawet nie widziałem z Jackiem;
 Ledwie słyszał o jego życiu hajdamackiem,
 Siedząc wtenczas retorem w jezuickiej szkole,
 Potém u wojewody służąc za pacholę.
 Dano mi dobra, wziąłem; kazał przyjąć Zosię,
 Przyjąłem, hodowałem, myślę o jej losie:
 Dość mnie nudzi ta cała historia babia!
 A potém czegoż jeszcze wlaźł mi tu ten Hrabia?
 Z jakim prawem do zamku? Wszak wiesz przyja-
 On Horeszkom dziesiąta woda po kisielu! [cielu,
 I ma mnie lżyć? a ja go zapraszać do zgody! «
 »Bracie! rzekł Ksiądz, ważne są do tego powody.
 Pamiętasz że Jacek chciał do wojska słać syna,
 Potém w Litwie zostawił: cóż w tém za przyczyna?
 Oto w domu Ojczyźnie potrzebniejszy będzie.
 Bieję do niego zaraz. « — »Niech się pierwszy zgłosi,
 Rzekł Sędzia, niech przyjedzie tu, niech mnie prze-
 [prosi;
 Wszak jestem starszy wiekiem, jestem na urzędzie!
 Co się tycze processu, sąd arbitrów będzie. «

Bernardyn trzasnął drzwiami. „No, szczęśliwa
Rzekł Sędzia. [droga,“

Ksiądz wpadł w powóz stojący u proga,
Tnie biczem konie, łechce lejcami po bokach;
Furknęła kałamaszka, ginie w mgły obłokach,
Tylko kiedy niekiedy kaptur mnicha bury
Wznosi się nad tumany, jako sęp nad chmury.

Woźny już dawniej wyszedł ku domowi Hrabi:
Jak lis bywalec, gdy go woń słoniny wabi,
Bieży ku niej, a strzelców zna fortele skryte,
Bieży, staje, przysiada coraz, wznosi kitę
I wiatr nią jak wachlarzem ku swym nozdrzom tuli,
Pyta wiatru czy strzelec jadła nie zatruli;
Protazy zeszedł z drogi i wzdłuż sianożęci
Kraży około domu, pałkę w ręku kręci,
Udaje że obaczył kędys bydło w szkodzie,
Tak zręcznie lawirując stanął przy ogrodzie;
Schylił się, bieży, rzekłbyś iż derkacza tropi,
Aż nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi.
W téj zielonej, pachnącej i gęstej krzewinie,

Koło domu, jest pewny przytułek zwierzynie
 I ludziom. Nieraz zając, zdybany w kapuście,
 Skacze skryć się w konopiach bezpiecniej niż
 Bo go dla gęstwi ziela ani chart nie zgoni, [w chruście,
 Ani ogar wywietrzy dla zbyt tęgiej woni.

W konopiach człowiek dworski, uchodząc kańczuka,
 Lub pięści, siedzi cicho aż się pan wyfuka.

I nawet często zbiegli od rekruta chłopci,
 Gdy ich rząd śledzi w lasach, siedzą wśród konopi.
 I stąd to w czasie bitew, zajazdów, tradowań,
 Obie strony nie szczędzą wielkich usiłowań
 Ażeby stanowisko zająć konopiane,
 Które s przodu ciągnie się aż pod dworską ścianę,
 A s tyłu, pospolicie stykając się s chmielem,
 Kryje attak i odwrót przed nieprzyjacielem.

Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu:
 Bo przypomniał s samego rośliny zapachu
 Różne swoje dawniejsze woźnińskie przypadki,
 Jedne po drugich, biorąc konopie na świadki:
 Jako raz zapozwany szlachcic s Telsz, Dzindolet,
 Roskazał mu, oparłszy o piersi pistolet,

Wleść pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
 Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać;
 Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
 Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
 Przyjąwszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki,
 I postawiwszy przy drzwiach s kijami hajduki,
 Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier,
 Krzycząc: albo cię zetnę, albo zjédz twój papier;
 Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek rostopny,
 Aż skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny.

W prawdzie już wtenczas w Litwie nie było zwycza-
 Opędzać się od pozwów szablą lub nahajem, [jem,
 J ledwie Woźny czasem usłyszał łajanie.

Ale Protazy o téj obyczajów zmianie

Wiedzieć nie mógł, bo dawno już pozwów nia naszał.
 Choć zawsze gotów, choć się Sędziemu sam wpraszał
 Sędzia dotąd, przez winny wzgląd na lata stare,
 Odmawiał jego prośbom; dziś przyjął ofiarę,
 Dla nagłacój potrzeby.

Woźny patrzy, czuwa—
 Cicho wszędzie—w konopie zwolna ręce wsuwa,

I roszyłając gęstwę badyłów, w jarzynie
 Jako rybak pod wodą nurkujący płynie.

Wzniósł głowę — cicho wszędzie — do okien się
 [skrada—

Cicho wszędzie—przez okna głąb' pałacu bada—
 Pusto wszędzie.—Na ganek wchodzi nie bez strachu,
 Odmyka kłamkę—pusto jak w zaklętym gmachu;
 Dobywa pozew, czyta głośno oświadczenie.

A w tém usłyszał turkot, uczuł serca drzenie,
 Chciał uciec; gdy odedrzwi zaszła mu osoba—
 Szczęściem znajoma! Robak! Zdziwili się oba.

Widno że Hrabia kędyś ruszył s całym dworem,
 I bardzo spieszył, bo drzwi zostawił otworem.

Widać że się uzbrajał; leżały dwururki

I sztuce na podłodze, dalej sztenfle, kurki,

I narzędzia ślósarskie, któremi ryszunki

Poprawiano: proch, papier; robiono ładunki.

Czy Hrabia s całym dworem wyjechał na łowy?

Ale po cóż broń ręczna? Tu szabla bez głowy

Zardzewiała, tam leży szpada bez temlaku:

Zapewne wybierano oręż s tego braku,

I poruszono nawet stare broni składy.

Robak obejrzał pilnie rusznice i szpady,

A potém do folwarku wybrał się na zwiady,
 Szukając sług żeby się rospytał o Hrabieę;
 W pustym folwarku ledwie wynalazł dwie babie,
 Od których słyszy że pan i dworska družyna
 Ruszyli tłumnie, zbrojnie, drogą do Dobrzyna.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek
 Męstwem swoich szlachciców, pięknością szlachcia-
 Niegdyś możny i ludny; bogdy Król Jan trzeci[nek.
 Obwołał pospolite ruszenie przez wici,
 Chorąży województwa, s samego Dobrzyna
 Przywiódł mu sześćset zbrojnej szlachty. Dziś ro-
 [dzina
 Zmniejszona, zubożała; dawniej w pańskich dworach,
 Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach,
 Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie.
 Teraz zmuszeni sami pracować na siebie,
 Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi
 Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,
 A w niedzielę kontusze. Strój także szlachciancek
 Najuboższych, różni się od chłopskich katanek:
 Zwykle chodzą w drylichach albo perkaliczkach,

Bydło pasą nie w łapciach s kory, lecz w trzewi-
I żną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach.[czkach,

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią.
Czysta krew Lacka, wszyscy mieli czarne włosy,
Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy,
Z Dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli.
A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
Zachowali mazurską mowę i zwyczaje.
Jeżeli który z nich dziecku imie na chrzcie daje,
Zawsze zwykł za patrona brać Koronijasza,
Świętego Bartłomieja albo Matyasza.
Tak Syn Macieja zawždy zwał się Bartłomiejem,
A znowu Bartłomieja syn zwał się Maciejem;
Kobięty wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.
By rozeznac się wpośród takiej mieszaniny,
Brali różne przydomki, od jakiej zalety
Lub wady, tak męszczyzni jako i kobiety.
Męszczyznom czasem kilka dawano przydomków,
Na znak pogardy albo szacunku spółziomków;
Czasem jedenże szlachcie inaczéj w Dobrznie,

A pod inném nazwiskiem u sąsiadów słyńie.
 Dobrzyńskich naśladowając, inna szlachta bliska
 Brała również przydomki, zwane *imioniska*.
 Teraz ich każda prawie używa rodzina,
 A rzadki wie iż mają początek z Dobrzyna,
 I były tam potrzebne; kiedy w reszcie kraju
 Głupieństwem naśladownictwem weszły do zwyczajów.

Więc Matyas Dobrzyński, który stał na czele
 Całej rodziny, zwan był *Kurkiem na kościele*.
 Potem s siedemset dziewięćdziesiąt czwartym ro-
 [kiem,
 Odmieniwszy przydomek, ochrzcił się *Zabokiem*;
 Toż *Królikiem* Dobrzyńscy mianują go sami,
 A Litwini nazwali *Maćkiem nad Maćkami*.

Jak on nad Dobrzyńskimi, dom jego nad siołem
 Panował, stojąc między karczmą i kościołem.
 Widać rzadko zwiędzany, mieszka w nim hołota,
 Bo brama sterczy bez wrot, ogrody bez płota.
 Nie zasiane, na grzędach już porosły brzożki:
 Przecież ten folwark zdał się być stolicą wioski,

Iż kształtniejszy od innych chat, bardziej rozległy,
 I prawą stronę, gdzie jest świetlica, miał s cegły.
 Obok lamus, spichrz, gunno, obora i stajnie,
 Wszystko w kupie, jak bywa u szlachty zwyczajnie;
 Wszystko nadzwyczaj stare, zgniłe; domu dachy
 Świeciły się jak gdyby od zielonej blachy,
 Od mchu i trawy, która buja jak na łące.
 Po strzechach gumien, niby ogrody wiszące
 Różnych roślin, pokrzywa i krokos czerwony,
 Żółta dziewanna, szczyru barwiste ogony;
 Gniazda ptastwa różnego, w strychach gołębniki,
 W oknach gniazda jaskółcze, u progu króliki
 Białe skaczą i ryją w niedeptanej darni.
 Słowem, dwór nakształt klatki albo królikarni.

A dawniej był obronny! Pełno wszędzie śladów,
 Że wielkich i że częstych doznawał napadów.
 Pod bramą dotąd w trawie, jak dziecięca głowa
 Wielka, leżała kula żelazna działowa
 Od czasów szwedzkich: niegdyś skrzydło wrót
 Bywało o tę kulę jak o głaz oparte. [otwarte
 Na dziedzińcu, s pomiędzy piołunu i chwastu

Wznoszą się stare szczęty krzyżów kilkunastu,
 Na ziemi nieświęconej; znać że tu chowano
 Poległych śmiercią nagłą i niespodziewaną.
 Ktoby uważał z bliska lamus, spichrz i chatę,
 Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate,
 Niby rojem owadów czarnych; w każdej plamie
 Siedzi we środku kula, jak trzmiel w ziemnej jamie.

U drzwi domostwa wszystkie klamki, ćwieki, haki,
 Albo ucięte, albo noszą szabel znaki:
 Pewnie tu probowano hartu Zygmunówek,
 Którymi można śmiało ćwieki obciąć z główek,
 Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy
 [szczyrby.

Nadedrzwiami Dobrzyńskich widne były herby;
 Lecz armaturę sérów zasłoniły półki,
 I zasklepiły gęsto gniazdami jaskółki.
 Wewnątrz samego domu, w stajni i wozowni,
 Pełno znajdziesz rynsztunków, jak w starój zbrojo-
 Pod dachem wiszą cztery ogromne szyszaki, [wni.
 Ozdoby czoł marsowych: dziś Wenery ptaki,
 Gołębie, w nich gruchając karmią swe pisklęta.

W stajni koleczuga wielka nad żłobem rospięta
 I pierścieniasty pancierz, służą za drabinę,
 W którą chłopiec zarzuca źrebcom dziecielinę.
 W kuchni kilka rapierów kucharka bezbożna
 Odhartowała, kładąc je w piec zamiast rożna;
 Buńczukiem, łupem z Wiednia, otrzepywa żarna:
 Słowem, wyгнаła Marsa, Ceres gospodarna,
 I panuje s Pomoną, Florą, i Wertumnem
 Nad Dobrzyńskiego domem, stodołą i gumnem.
 Ale dziś muszą znowu ustąpić Boginie:
 Mars powraca.

O świcie zjawił się w Dobrzninie
 Konny posłaniec; biega od chaty do chaty,
 Budzi jak na pańszczyznę; wstają szlachta braty,
 Napełniają się ciżbą zaścianku ulice,
 Słychać krzyk w karczmie, widać w plebaniiświéce,
 Biegą; jeden drugiego pyta co to znaczy?
 Starzy składają radę, młódź konie kulbaczy,
 Kobiéty zatrzymują, chłopcy się szamocą,
 Rwą się biedz, bić się, ale nie wiedzą s kim, o co?
 Muszą chcąc niechcąc zostać. W mieszkaniu plebana
 Trwa rada długa, tłunna, strasznie zamieszana,

Aż nie mogąc zdań zgodzić, nakoniec stanowi
Przełożyć całą sprawę Ojcu Maciejowi.

Siedmdziesiąt dwa lat liczył Maciej, starzec dziar-
Niskiego wzrostu, dawny konfederat Barski. [ski,
Pamiętają i swoi i nieprzyjaciele
Jego damaskowaną krzywą karabelę,
Którą piki i sztyki rzezał nakształt sieczki,
I której żartem skromne dał imie *rózczecki*.
S konfederata stał się stronnikiem królewskim,
I trzymał s Tyzenhauzem, Podskarbin litewskim;
Lecz gdy Król w Targowicy przyjął uczestnictwo,
Maciej opuścił znowu królewskie stronnictwo.
I stądto że przechodził partyj tak wiele
Nazywany był dawniej *Kurkiem na kościele*,
Że jak kurek za wiatrem chorągiewkę zwracał.
Przyczynę zmian tak częstych naprózno byś macał.
Może Maciej zbyt wojnę lubił, zwyciężony
W jednej stronie, znów bitwy szukał z drugiej strony?
Może bystry polityk, duch czasu zbadywał,
I tam szedł gdzie Ojczyzny dobro upatrywał?
Kto wie! to pewna, że go nigdy nie uwiodły
Ani chęć osobistój chwały, ni zysk podły.

Ostatni raz wojował poszedłszy z Ogińskim
 Do Wilna, gdzie służyli oba pod Jasińskim,
 I tam z *różeczką* cudów dokazał odwagi.
 Wiadomo, że sam jeden skoczył z wałów Pragi
 Bronić pana Pocięja, który odbieżany
 Na placu boju, dostał dwadzieścia trzy rany.
 Myślano długo w Litwie że obu zabito:
 Wrócili oba, każdy pokłóty jak sito.
 Pan Pocięj, zacny człowiek, chciał zaraz pò wojnie
 Obrońcę Dobrzyńskiego wynagrodzić hojnie,
 Dawał mu folwark pięciu dymów w dożywocie,
 I wyznaczył mu rocznie tysiąc złotych w złocie.
 Lecz Dobrzyński odpisał: —niech Pocięj Macieja
 A nie Macieję Pocięja ma za Dobrodzieja.—
 Odmówił więc folwarku i nie przyjął płacy;
 Sam wróciwszy do domu, żył z własnej rąk pracy,
 Sprawując ule dla pszczoł, lekarstwa dla bydła,
 Szląc na targ kuropatwy, które łowił w sidła,
 I polując na zwierza.

Było dość w Dobrzymie

Starych ludzi rostopnych, którzy po łacinie

Umieci, i w Palestrze ćwiczyci się z młodu;
 Było dość majątniejszych; a s całego rodu
 Maciek, prostak ubogi, był najwięcej czczony,
 Nie tylko jako rębacz *różeczką* wślawniony,
 Lecz jako człek mądrego i pewnego zdania,
 Znający dzieje kraju, rodziny, podania,
 Zarówno świadom prawa jak i gospodarstwa.
 Wiedział także sekreta strzelców i lekarstwa,
 Przyznawano mu nawet (czemu pleban przeczy)
 Wiadomość nadzwyczajnych i nadludzkich rzeczy.
 To pewna, że powietrza zmiany zna dokładnie,
 I częściej niż kalendarz gospodarski zgadnie.
 Nie dziw tedy że czy to siejbę rozpoczynać,
 Czy wiciny wyprawiać, czy zboże zażynać,
 Czy processować, czyli zawierać układy,
 Nie działo się w Dobrzynie nic bez Maćka rady.
 Wpływu takiego starzec bynajmniej nie szukał,
 Owszem chciał się go pozbyć, klientów swych fukał,
 I najczęściej wypychał milczkiem za drzwi domu,
 Rady rzadko udzielał i nielada komu;
 Ledwie w niezmiernie ważnych sporach lub umo-
 [wach
 Pytany, wyrzekł zdanie i w niewielu słowach.

Myślano że dzisiejszej podejmie się sprawy
I stanie swą osobą na czele wyprawy.

Właśnie staruszek chodził po samotnym dworze,
Nucąc piosenkę: *Kiedy ranne wstają zorze,*
Rad że się wypogadza; mgła nie szła do góry,
Jak się diać zwykło kiedy zbierają się chmury,
Ale coraz spadała; wiatr rozwinął dłonie
I mgłę muskał, wygladzał, rościelał na błonie,
Tymczasem słońko z góry tysiącem promieni
Tło przetyka, pośrebrza, wyłaca, rumieni.
Jak para mistrzów w Słucku lity pas wyrabia,
Dziewica siedząc w dole krośny ujedwabia
I tło ręką wygladza, tymczasem tkacz z góry
Zrzuca jój nitki srebra, złota i purpury,
Tworząc barwy i kwiaty: tak dziś ziemię całą
Wiatr tumanami osnuł a słońce dzierzgało.
Maciej ogrzał się słońcem, zakończył pacierze,
I już się do swojego gospodarstwa bierze.
Wyniósł traw, liścia; usiadł przed domem i świsnął:
Na ten świst rój królików s pod ziemi wytrysnął.
Jako narcyzy nagle wykwitłe nad trawę,



Bielą się długie słuchy; pod niemi jaskrawe
 Przeświecają się oczki, jak krwawe rubiny
 Gęsto wszyte w aksamit zielonój darniny.
 Już króliki na łapkach stają, każdy słucha,
 Patrzy, nakoniec cała trzódka białopucha
 Bieży do starca, liśćmi kapusty znęcona,
 Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona;
 On sam biały jak królik lubi ich gromadzić
 W koło siebie i ręką ciepły ich puch gładzić,
 A drugą ręką s czapki proso w trawę miota
 Dla wróblów, spada z dachów krzykliwa hołota.

Gdy się staruszek bawił widokiem biesiady,
 Nagle króliki znikły w ziemi, a gromady
 Wróblów na dach uciekły przed gośćmi nowymi,
 Którzy szli do folwarku krokami prędkimi.
 Bylito s plebanii, przez szlachty gromadę,
 Posłowie wyprawieni do Maćka po radę.
 Zdala witając starca niskimi ukłony
 Rzekli: „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“
 — „Na wieki wieków, amen“ starzec odpowiedział,
 A gdy się o ważności poselstwa dowiedział,

Prosi do chaty; weszli, zasiadają ławę.
Pierwszy z posłów stał w środku i jął zdawać sprawę.
Tymczasem szlachty coraz gęściej przybywało.
Dobrzyńscy prawie wszyscy; sąsiadów nie mało
Z okolicznych zaścianków, zbrojni i bezbrønni,
W kałamaszkach i bryczkach, i piesi i konni,
Stawia wozy, podjezdki do brzezinek wiążą,
Ciekawi skutku narad koło domu krążą,
Już izbę napełnili, kupią się do sieni;
Inni słuchają, w okna głowami wcisnieni.

OBJAŚNIENIA.

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej, exekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne, w kraju gdzie władza wykonawcza nie miała prawie żadnej policyi pod swemi rozkazami, a obywatele moi trzymali nadworne pulki, niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunasto-tysięczne wojska. Żałujący więc, uzyskawszy dekret musiał po exekucyą udawać się do stanu rycerskiego, to jest do szlachty, przy której była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powietnicy, ciągnęli z dekretem w rękę i w towarzystwie woźnego, zdobywali często nie bez rozlewu krwi dobra przysądzone żałującemu, które woźny legalnie tradował lub w possessyę oddawał. Taka exekucya zbrojna dekretu nazywała się *zajazdem*. — W dawnych

czasach, póki szanowano prawa, najmoźniejsi panowie nie śmieli się opierać wyrokom, rzadko zdarzały się zbrojne napaści, a gwałt prawie nigdy nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego diabłem. — Zepsucie publicznych obyczajów Rzeczypospolitėj namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy.

Str. 3, w. 5. Panno Święta, co jasnėj bronisz Częstochowy
I w Ostrėj świecisz Bramie.

Wszyscy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na jasnėj górze w Częstochowie. W Litwie słyńą cudami obrazy N. P. Ostrobramskiej w Wilnie, Zamkowej w Nowogródku, tudzież Żyrowickiej i Boruńskiej.

Str. 10, w. 11. nim się Pan Wojski ubierze.

Wojski (tribunus) bywał niegdys z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż osobom poważnym nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Oboźnym, Stolnikiem lub Podczaszym,

z razu w rozmowie tylko i w korespondencji, a następnie nawet w aktach urzędowych.

Str. 11, w. 19. Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, Princeps Nobilitatis, zarządu Rossyjskiego stał się tylko tytularnym. Sądził jeszcze niekiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcji utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka, i mianuje Komorników, czyli mierniczych powiatowych.

Str. 15, w. 7. Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny albo generał, wybrany uchwałą trybunałską lub sądową ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizye, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Str. 24, w. 16. Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo że za jastrzębiem drobne ptastwo, szczególnie jaskółki, tłumnie upędzają się. Stąd przysłowie: latać jak za rarogiem.

Str. 28, w. 20, Że Bonapart czarował.

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rosyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Str. 31, w. 5. Assesora z Rejentem wzmogła się uparta.

Assesorowie składają policją ziemską powiatu. Wedle ukazów, czasem bywają obierani przez obywateli, czasem naznaczeni od Rządu; ci ostatni zowią się koronni. Sędziowie apelacyjni zowią się także Assesorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancelaryą, dekretowi piszą wyroki, wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzy sądowych.

Str. 41, w. 13. Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary.

Józef Hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogródzki, był Prezesem Rządu w r. 1794.

Str. 44, w. 10. Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka złotogłowu i pasów litych na całą Polskę; udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Str. 45, w. 11. Była to trybunalska wokanda;

Wokanda, wąska podługowata książeczka, na której spisywano nazwiska stron processujących, wedle porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Woźny musiał mieć takową wokandę.

Str. 48, w. 1. Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Jenerał Kniaziewicz, wysłany przez armiją włoską, złożył Dyrektoriatowi zdobyte chorągwie.

Str. 48, w. 2. Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz roślinie.

Książę Jabłonowski, dowodzący Legią Naddunajską, umarł w Saint Domingo, i cała prawie legia tam zginęła.

Str. 68, w. 14. I w organ i w rozliczne instrumenty grała.

W dawnych zamkach stawiano na chorach organ.

Str. 71, w. 6. I czarną mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka, podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Str. 81, w. 21. Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny są to wielkie statki na Niemnie, któremi Litwini prowadzą handel s Prusami, spławiając zboże, i biorąc w zamian za nie towary kolonialne.

Str. 95, w. 10. Książę Dominik, kiedym z nim razem polował.

Ks. Dominik Radziwiłł, wielki miłośnik polowania,—emigrował do Księstwa Warszawskiego, i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francyi. Na nim zgasła linija męska Książąt na Ołyce i Nieświeżu, największych panów w Polsce i zapewne w Europie.

Str. 112, w. 18. Panienci za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W téj pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Str. 130, w. 1. . . . Nasz malarz Orłowski. . . .

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł w Petersburgu.

Str. 136, w. 6.

Dwie Pijawki

Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną.

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierzaka, szczególnie niedźwiedzia.

Sprawnik czyli kapitan Sprawnik, naczelnik Policji Ziemińskiej — *Strapczy*, rodzaj Prokuratora rządowego.

Str. 142, w. 3. Ukołysany marzył o wilku żelaznym.

Podług tradycji, wielki książę Gedymin miał sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

Str. 142, w. 14. Ostatni Król co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego, przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Str. 142, w. 21. Czy żyje wielki Baublis

W powiecie Rosieńskim, w majątności Paszkiewiczza, Pisarza Ziemińskiego, rósł dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdyś w czasach pogańskich

czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygniętego olbrzyma Paszkiewicz założył gabinet starożytności Litewskich.

Str. 143, w. 3. Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?

Niedaleko fary Nowogródzkiej rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.

Str. 143, w. 13-14. wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.

Ob. Goszczyńskiego „Zamek Kaniowski, poema.”

Str. 153, w. 18. Kołomyjek z Halicza. . . .

Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.

Str. 154, w. 11, 12. znał się dobrze na handlu zbożowym,
Na wicinnym. . . .

Ob. przyp. do str. 81, w. 21.

Str. 155, w. 7. Zwane *pokuciem*,

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniej stawiano bogów domowych, gdzie dotąd Rossyanie zawieszają

obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gościa którego chce uczcić.

Str. 166, w. 9, 10. Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłąk
skrzywi,

Że zamknięty na wieki, już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziej zakrzywiają się, i nakoniec wierzchnie ostrze zagiąwszy się, dziób zamyka, i ptak z głodu umierać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy ornitologowie.

Str. 166, w. 13. Stąd to w miejscach dostępnych kędy człowiek
gości,

Nieznajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście nie ma przykładu, aby znaleziono kiedy skielec zdechłego zwierza.

Str. 175, w. 17. A co fuzyjka moja? nie wielka ptaszyna.

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie się drobna kula. Dobrzy strzelcy s takich fuzyj ptaka w lot trafiają.

Str. 180, w. 14. Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiej bywają na dnie listki złota.

Str. 188, w. 9.—10.

.... taki ziemi kawał,

Któryby się wołową skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porznać na pasy skórę wołową, i tym sposobem zamknęła w obrębie skóry obszerne pole, gdzie wystawiła Kartaginę. Wojski wyczytał opis tego zdarzenia nie w Enejdzie, ale zapewne w Komentarzach Scholiastów.

Str. 213, w. 19. Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip z Konopi.

Raz na Sejmie poseł *Filip*, ze wsi dziedzicznej *Konopie*, zabrawszy głos, tak dalece odstąpił od materyi, że wzbudził śmiech powszechny w Izbie. Stąd urosło przysłowie: wyrwał się jak Filip z Konopi.

• NB. Niektóre miejsca w pieśni czwartej są pióra STEFANA WITWICKIEGO.

Str. 245.

ZĄŚCIANIEK. Nazywają w Litwie *Okolicą* lub *Zaściankiem* osadę szlachecką, dla różnicy od właściwych wsi czyli siół, osad wiejskich.

Str. 253, w. 12. On Horeszkom dziesiąta woda na kisielu.

Kisiel, potrawa litewska, rodzaj galarety, która się robi z rozczynu owsianego, płócze się wodą aż

póki nie oddziela się wszystkie cząstki mączne; stąd przysłowie.

Str. 256, w. 3. Wołodkowiez, pan dumny, zuchwały.

Po licznych burdach, pochwycony w Mińsku, i za dekretem Trybunału rozstrzelany.

Str. 258, w. 9. Obwołał pospolite ruszenie przez wici.

Kiedy Król miał zgromadzić pospolite ruszenie, rozkazywał zatykać w każdej parafii drąg wysoki z uwiązaną na wierzchu miotłą czyli wicią. I to się nazywało rozdać wici. Każdy człowiek dorosły, stanu rycerskiego, obowiązany był pod utratą szlachectwa, stawić się natychmiast pod chorągiew Wojewódzką.

Str. 260, w. 3. Brała również przydomki, zwane *imioniska*.

Imioniska są właściwie sobrykiety.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE TRZECIM.



Pan Tadeusz	<i>Str.</i> I
-------------------	------------------

KSIEGA I.

GOSPODARSTWO.

Powrót panicza.—Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu.—Ważna Sędziego nauka o grzeczności.—Podkomorzego uwagi polityczne nad modami. — Początek sporu o Kusego i Sokoła. — Żale Wojskiego. — Ostatni Woźny Trybunału.—Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i Europy.....	1
Przypisy do księgi pierwszej. „WARJANTY.“.....	52

KSIEGA II.

Z A M E K.

Polowanie s chartami na upatrzonego. —Gość w Zamku.—Ostatni z dworzan opowiada historią ostatniego z Horreszków.—Rzut oka w sad.—Dziewczyna w ogórkach.—Śniadanie.—Pani Telimeny anegdota petersburska.—Nowy wybuch sporów o Kusego i Sokoła.—Interwencya Robaka.—Rzecz Wojskiego.—Zakład.—Dalej w grzyby.....	57
--	----

KSIEGA. III.

U M I Z G I.

Wyprawa Hrabi na sad.—Tajemnicza nimfa gęsi pasie.—Podbieństwo grzybobrania do przechadzki cieniów elizejskich.—Gatunki grzybów.—Telimena w świątyni dumania	
--	--

— Narady dotyczące się postanowienia Tadeusza. — Hrabia pejzażysta. — Tadeusza uwagi malarskie nad drzewami i obłokami. — Hrabiego myśli o sztuce. — Dzwon. — Bilecik. — Niedźwiedź Mospanio.	99
---	----

KSIEGA IV.

DYPLMATYKA I ŁOWY.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza. — Za późne postrzeżenie omyłki. — Karczma. — Zręczne użycie tabakiery zwraca dyskusję na właściwą drogę. — Matecznik. — Niedźwiedź. — Niebezpieczeństwo Tadeusza i Hrabiego. — Trzy strzały. — Spór Sagalasówki s Sanguszkówką rostrzygniony na stronę jednorurki Horeszkowskiej. — Bigos. — Wojskiego powieść o pojedynku Dowejki z Domejką, przerwana szczuciem kota. — Koniec powieści o Dowejce i Domejce.	141
Przypisy do księgi czwartej.	190

KSIEGA V.

KŁÓTNIA.

Plany myśliwskie Telimeny. — Ogrodniczka wybiera się na wielki świat i słucha nauk opiekunki. — Strzelcy wracają. — Wielkie zadziwienie Tadeusza. — Spotkanie się powtórne w świątyni dumania i zgoda ułatwiona za pośrednictwem mrówek. — U stołu wytacza się rzecz o łowach. — Powieść Wojskiego o Rejtanie i Księżu Denassow, przerwana. — Zagajenie układów między stronami, także przerwane. — Zjawisko s kluczem. — Kłótnia. — Hrabia z Gerwazym odbywają radę wojenną.	197
---	-----

KSIEGA VI.

Z A Ś C I A N E K.

Pierwsze ruchy wojenne zajazdu. — Wyprawa Protazego. — Robak s Panem Sędzią radzą. — Dalszy ciąg wyprawy Protazego besskutecznej. — Ustęp o konopiach. — Zaścianek szlachecki Dobrzyń. — Opisanie domostwa i osoby Maćka Dobrzyńskiego.	245
---	-----







Biblioteka WSP Kielce



0227430